

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

MARIAN KUSA

Pod znakiem sporów o nowy teatr

Sala Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Łodzi stała się ostatnio miejscem żywej i zaciętej dyskusji nad koncepcją nowego teatru. Dyskusję tę sprowokował ciekawy referat kol. Jerzego Grotowskiego z Krakowa wygłoszony na II Zjeździe Kół Naukowych szkół aktorskich.

Jakie były najważniejsze tezy kol. Grotowskiego, który występował w imieniu grupy młodzieży aktorskiej z PWSA w Krakowie? Nawiązując do XII Sesji Rady Kultury i Sztuki autor referatu przedstawił nową koncepcję teatru, określając go „teatrem wielkich uczuć”. Teatr taki, przepojony młodzieńczą pasją, porywałby widza wielkimi konfliktami, dałby mu maksimum emocjonalnego przeżycia. W teatrze wielkich uczuć nie byłoby miejsca na naturalistyczną szarżę, która ostatnio rozpanoszyła się na polskich scenach. Prze-

ciwnie, operowałby on symbolami, artystycznym skrótem, wysuwając na pierwszy plan prawdę ludzkich uczuć i namiętności.

Do tych ogólnych założeń dostosowany ma być repertuar, a co najważniejsze sposób interpretacji scenicznej utworu dramatycznego. Kol. Grotowski dał na to m. in. przykłady wystawienia w takim teatrze „Hamleta” i „Nie igrasie z miłością”.

Z nową koncepcją teatru wiąże się ściśle metoda pracy nad sztuką, którą eksperymentuje krakowski kół naukowy.

Wystąpienie kol. Grotowskiego zawierało duży ładunek entuzjazmu, świadczyło o aktywnej, twórczej postawie młodzieży krakowskiej. Prawdą jest bowiem jak mówił referent — że młody aktor, który nie ma własnej wizji teatru i nie uświadamia sobie swych zadań, nie może być pełnowartościowym, twórczym pracownikiem sceny.

Miało też ono jedną wadę. Koncepcja teatru wielkich uczuć, mimo że dość ściśle sprecyzowana i poparta przykładami była zbyt teoretyczna, sprawiała wrażenie jakiegoś dogmatu. Słusznie też któryś z dyskutantów zauważył, że warto byłoby zobaczyć warsztatowe osiągnięcia kolegów z Krakowa. Szkoda, że nie zaprezentowano nam ich na Zjeździe.

Odmienne stanowisko zajęli słuchacze warszawskiej PWST. Głos kol. Koszuckiej był równie rosządy jak pesymistyczny. Nie należy teoretyzować w oderwaniu od konkretnej sytuacji w jakiej znajdują się teatry polskie. Trzeba tak pracować w szkole, aby później nie było „straconych złudzeń” w zetknięciu ze zwykłym, codziennym, trudnym życiem teatru. Trzeba

przede wszystkim uczyć się, zdobywać wiedzę. Eksperymentować można dopiero wtedy, kiedy się jest świetnym fachowcem.

Inne głosy dyskutantów z ośrodka warszawskiego brzmiały w tym samym tonie. I można byłoby zaniepokoić się tą zbyt dojrzałą rozważą, gdyby nie pewne względy ambicjonalne, dające się dostrzec w sporze dwóch obozów.

Od pierwszego Zjazdu Kół Naukowych przy naszych trzech szkołach aktorskich w 1951 r. największą aktywność wykazywało kóło krakowskie. Wspólnie z pedagogami uczelni systematycznie pracowano w nim nad wieloma zagadnieniami warsztatu aktorskiego; przypomnijmy tu choćby studia nad metodą działań fizycznych Stanisławskiego. Warszawa i Łódź znajdowały się zawsze na drugim miejscu. Dopiero w ostatnich miesiącach ożywiło swą działalność warszawskie kół naukowe, mające piękną ambicję przodowania. Powstały tutaj trzy sekcje: filmowa, muzyczna i aktorska. Tylko dwie z nich rozwijają się pomyślnie. Sekcja aktorska — wegetuje. (Nie wspominał o Kół Naukowych przy łódzkiej PWSA, bowiem tak naprawdę nie istnieje. Członkowie Kół mieli na Zjeździe najmniej do powiedzenia).

Krakowska koncepcja teatru przyjęta została przez obóz warszawski nie jako materiał do dyskusji, ale jako chęć popisywania się i chwaleń. Wszyscy warszawscy dyskutanci usiłowali więc udowodnić jej nierealność i jednocześnie uzasadnić metodę pracy swego Kół. Tak np. kol. Zapasiewicz twierdził, że nie ma sensu zajmować się eksperymentowaniem w Kół Naukowym. Jest na to miejsce w Ramach

(Dokończenie na str. 5)



5-go marca upływa druga rocznica śmierci JÓZEFA STALINA, wielkiego wychowawcy i przyjaciela młodzieży.

Kij w mrowisko

A. MINKOWSKI

fam powiedziano? Właśnie — czas brać się za „sąd ostateczny” i ruszyć z miejsca.

Tego samego dnia w grupach zetempowskich odbywały się gorące, niespotykane burzliwe zebrania. Analizuje się postawę Klimkiewicza, Dzikowskiego, szeregu innych członków. Krytyka jest ostra, głęboka, łaka, że nawet Dzikowski zmuszony jest do samokrytyki. Nie dziwnego, uzbierało się człowiekowi na wątrobę przez długi czas milczenia. Nawet Zula Henschke, zazwyczaj wstydliva i milcząca, wytyka Dzikowskiemu bezduszność, biurokratyczny stosunek do pracy organizacyjnej, nieuctwo.

Równocześnie padają wnioski — konkretne, domagające się szybkiego wykonania. „Zorganizujemy wieczorek poetycki! Józka Ratajczaka! Pomoc dla słabszych z gramatyki opisowej! Ja się zajmę przygotowaniem części artystycznej na naszą wieczornicę”.

I nagle — gazetka zniknęła. Zdjęła ją grupa towarzyszy-asystentów, którzy uważali, że jest przesadna, zbyt mocna w określeniach.

Czy można o sobie mówić, że jesteśmy bagienkiem? Czy zwrotka „Róbć chcę — bardzo chcę — byle nie w ZMP” nie jest insynuacją pod adresem całej naszej organizacji?

Argumenty te natychmiast poparł Dzikowski. Ale zetempowcy na roku nie zgodzili się. Ludzie dotychczas milczący, znoszący ze spokojem i rezygnacją atmosferę nieróbstwa — przebudziło się. Po wykładzie z marksizmu odbyło się pierwsze w historii roku zebranie, na które przyszli wszyscy, na którym wypowiedziała się większość, w trakcie którego stało się jasne, że dotychczasowa atmosfera, nie ma już u nas racji bytu.

Zebranie nie miało charakteru polemiki z asystentami. Sądząc zresztą, że wyszli oni z zebrania przekonani o słuszności gazetki. Na zebraniu wyszły na jaw wszystkie ukryte bolączki, wszystkie pretensje, żądania.

Usłyszeli prawdę o sobie: Dzikowski, Klimkiewicz i inni aktywiści, którzy odwrócili się twarzą do wyższych instancji a tyłem do młodzieży, którzy dbali jedynie o to, aby na czas wysyłać sprawozdania do Zarządu Wydziałowego, a otrzymane stamtąd polecenia „przenosić na koła”.

— Ty, Dzikowski kroku bez instrukcji zrobić nie potrafisz. I za rozumiał jestes, ludzi nie dostrzegasz odkąd cię wzięto do Zarządu Wydziałowego. A kto cię wybrał? Kogo ty w Zarządzie reprezentujesz? Pomyśl nad tym, Andrzej, dobrze pomyśl. Myśmy cię wybrali i my możemy odwołać. Ale nie o to nam chodzi — chcemy abyś się zmienił.

Zdajemy sobie sprawę, proszę kolegów, że nie stanęliśmy na wysokości zadania. To prawda, że Zarząd prawie nic nie robił. Chcemy usłyszeć od was głęboką i twórczą krytykę. To nam pomoże. — Dzikowski rozgląda się po wypełnionej sali. — Otwieram dyskusję nad referatem sprawozdawczym.

Cisza trwa niepokojąco długo. Nikt jakoś nie kwasi się z wystąpieniem: tyle już gadano... Wreszcie wstaje jeden z kolegów.

— Ja nie będę owijał w bawełnę, powiem to co myślę...

Gdy kończy, salę obiega szmer aprobaty. Tylko koledzy za stołem prezydyalnym mają grobowe miny, wymieniają jakieś karteczki, szepty. Wstaje Dzikowski z ironicznym uśmiechem:

— Jeśli kolega umie tak pięknie krytykować, to może potrafi również pięknie złożyć samokrytykę. Bo za to wszystko każdy ponosi odpowiedzialność. I wy też, kolego.

Udzielam wam głosu w celu złożenia samokrytyki.

Sala jakby zmartwiała. Wszyscy patrzą na kolegę, który przed chwilą pozwolił sobie odważnie krytykować, a teraz stoi czerwony jak piwonia i jaka się, że do samokrytyki nie jest przygotowany, że trudno mu tak na poczekaniu, że przecież...

Działło się to dokładnie rok temu. Od tego dnia upłynęło wiele czasu, ale sytuacja — pozostawała bez zmian. Nadal Dzikowski, twarzą zwrócony do Zarządu Wydziałowego, nie dostrzegał organizacji na swoim roku. Miał dla niej tylko okólniki i polecenia, miał frazesiki, który zaczynał się zwykle od słów: „My, Zarząd Wydziałowy...” Nadal Bogusia Klimkiewicz — natenczas przewodnicząca — broniła się, że coś ona może, gdy ludzie są tacy... Nadal urządzano od czasu do czasu zebrania, na których aktywiści uderzali się w piersi (lepiej samemu, niż żeby inni...) wysuwano wnioski (konające w protokołach) i zapewniano się nawzajem, że będzie lepiej. Nadal organizacja partyni przyglądała się temu, a jak próbowała zarządzić — nie wiem... Chyba czekano cudu.

Gdy cud nie nastąpił, zmieniono przewodniczącą. Został nim Antek Dąbrowski — dobry student, niezły kolega, ale — bez energii, inicjatywy. I znów było tak samo.

Stała się rzecz najgorsza — ludzie zapomnieli, że na roku istnieje ZMP, że przed ZMP stoją jakieś zadania, że legitymacja zetempowska do czegoś zobowiązuje. Próby wykazania inicjatywy nie znajdowały poparcia.

Wytworzyła się atmosfera zastoju, zbiorowej obojętności na wszystko co dzieje się wokół. Nikt już nie próbował zarządzić temu: „próbowali inni i nic nie wyszło, to co ja zrobić?”

Wojtek Kalina tygodniami nie pokazywał się na uczelni. Żenia Sożyńska w czasie wykładów i ćwiczeń siadywała w radiowęzle. Dzikowski nie przygotowywał się zu-

pełnie do zajęć lub po prostu nie przychodził. Organizacja tolerowała to wszystko z sennym spokojem. Te i wiele innych spraw,

*

To co się stało na pewno nie było przypadkiem. Atmosfera zbyt mocno zalażywała bagienkiem, aby można w niej było dłużej wytrzymać. Ludzie zaczęli się buntować, nie wiedząc tylko w jakie formy ująć narastający protest. Coraz częściej w korytarzowych rozmowach przewijał się nie dający spokoju problem, często sformułowany dosadnie: „Cholera jasna, przecież to nie ZMP tylko diabli wiedzą co. Śpiączka jakaś, związek sterców, szlag już trafia człowieka”. Jednego nie wiedzieli — od czego zacząć. Jeszcze jedno zebranie? Dostę było gadania. Może zorganizować wieczornicę, jakieś spotkanie, postanowić coś. Uchwał też było dosyć — uchwał tego typu, o których wiadomo z góry, że i tak nie zostaną zrealizowane. Więc co?

Byliśmy tylko wyrażicielami nastrojów ogółu, gdy — Leszek Jęczyński, Zinek Ratajczak i autor niniejszego — analizując wytworzoną sytuację, wpadliśmy na pomysł. Jasne dla nas było, że do wytrącenia organizacji ze stanu letargu konieczny jest wstrząs. Takim wstrząsem mogłaby być gazetka ścienna krytykująca ostry i bezlitośnie nasze błędy, wskazująca przyczyny tego stanu rzeczy, operująca przykładami i nazwiskami — nawet aktywistów, którzy dotychczas byli nietykalni.

Przez kilka dni — w tajemnicy przed wszystkimi — opracowywaliśmy poszczególne pozycje, uzgadniałmy opinie co do poszczególnych ludzi. Wyszły teksty ostre, satyryczne, złośliwe, często nawet przesadne — co robiliśmy zupełnie celowo: niech mocniej zaboli. Z gotowym materiałem poszliśmy do sekretarza naszej organizacji partyjnej, towarzyszy Knapp, „wtajemniczyliśmy” ją i uzyskaliśmy pełną aprobatę.

Tak narodziła się historyczna dla drugiego roku filologii rosyjskiej gazetka — „Pranie na sucho”.

*

Do gazetki nie można się przecisnąć — zwarty tłum otacza ją ze wszystkich stron. Z początku nikt nie wysuwa komentarzy. Jeszcze pokutuje pewien lęk. Ale już po kilku chwilach:

— Dobrze powiedziane — rzeczywiście jest u nas bagienko!

— Właśnie! I w ZMP człowiek robić nie chce jeśli tam wszystko chrapu — chrapu...

Atmosfera wokół gazetki zmienia się — z podekscytowanej staje się coraz bardziej poważną. Zyta Drużkowska odzywa się głośno do którejś z koleżanek:

— Gazetka jest świetna ale ciąg dalszy to już do nas należy. Jak to



W dniu 16.2 br. został opublikowany apel Światowej Federacji Związków Zawodowych, który m. in. głosi: „SFZZ wzywa wszystkich ludzi pracy — mężczyzn i kobiety Europy, niezależnie od przekonań politycznych i przynależności związkowej, wszystkie organizacje związkowe, aby proklamowały dzień 10 marca 1955 r. jako międzynarodowy dzień walki przeciwko układom paryskim i wskrzeszeniu militarystyki niemieckiej, jako dzień aktywnej solidarności mas pracujących Europy, ich solidarności z masami pracującymi Niemiec”.

Człowiek w cieniu

Napisał JERZY SEGEL



„Bankier weszły uprządkie pieniądze, ale zmysł powontenia właśnie teraz może go zawieść.”
Na zdjęciu: fragment manifestacji młodzieży w zachodnim Berlinie. Napis na transparentie głosi: „Podrzemy adenauerowskie karty werbunkowe”.

foto CAF

Nie wypała

W trzech kolejnych numerach elitarnego „Saturday Evening Post”, bracia Harkness sięgnęli do tematu z gatunku „wstydlivych”. Włócznie żądza sensacji zwyciężyła dyplomatyczną powściągliwość, tak że zdecydowano się uchylić nieco rąbka tajemnicy. Kiedy dzieła tego dokonano — ukazał się oczom czytelników mityczny „minister A.W.D.” nie w pełnej — rzecz jasna — okazałości, lecz w półciemni, dość wyraźnie jednak rysującym postać wielkiego komtura amerykańskich „rycerzy piaszcza i sztyletu”. Pod zagadkowym kryptoniem (ważniejsze dokumenty szpiegowskie noszą adnotację: „for A.W.D. eyes only”) — kryje się Allan Welsh Dulles, szef Central Intelligence Agency, rodzony braciśzek amerykańskiego sekretarza stanu John Foster Dullesa.

Braciśzek Allan — jak to niezbicie wynika z reportażu Harknessów — nie pozostaje bynajmniej w tyle za John Fosterem. Wprost przeciwnie. Posiada on ponoć bardziej rozległą perspektywę, dysponuje bez porównania większym aparatem i znaczniejszymi funduszami. Nie dziwnie, w kraju takim jak USA — wywiad, szpiegostwo i dywersja odgrywają na pewno nie mniejszą rolę od oficjalnej polityki, uprawianej przez J.F. Dullesa na niwie dyplomatycznej.

Rodzina Dullesów — to naprawdę utalentowana rodzinka: jeden synulek uprawia dyplomację jawną, drugi — tajną. Jeden rozkoszuje się w pełni blaskiem oficjalnej sławy, drugi z niej chętnie rezygnuje. „Centrum nerwowe CIA — piszą bracia Harkness — nie mieści się w jednym z owych imponujących neohelleistycznych budynków przy waszyngtońskiej Constitutions Avenue. Jej lokal mógłby raczej posłużyć do nakręcenia sensacyjnego filmu szpiegowskiego w Hollywood. Blura CIA mieszczą się w starych budynkach typu kolonialnego z czerwonej cegły, w dzielnicy Foggy Botton”. Tu mieści się królestwo „pana A.W.D.”. Nie są mu potrzebne monumentalne gmachy, ani imponujące apartamenty. Działalność CIA jest tego rodzaju, że lepiej prowadzić ją od strony kuchennych schodów. Tak też jest w istocie. Aparat Allana Dullesa operuje cichcem, boczkiem, bez rozgłosu. Za to można stwierdzić z pełnym poczuciem odpowiedzialności, że w ciągu ostatnich kilku lat nie dokonało się w skali międzynarodowej żadne poważniejsze świętostwo, aby nie zaczął w nim paluszków „mr.A.W.D.”.

Wiadomo powszechnie, że nie kto inny, jak sam A.W. Dulles rokował w roku 1943 w Szwajcarii ze specjalnym wysłannikiem Hitlera w sprawie zawarcia odrębnego pokoju i wspólnego marszu na ZSRR. Oświadczył on wówczas: „Silnie sferderowane Niemcy, obejmujące okupowane kraje a w tej liczbie i Polskę — a najlepszą gwarancją przeciwko bolszewizmowi”. Później — w latach „zimnej wojny” cież „A.W.D.” unosił się nad każdą antydemokratyczną dywersją: w Gwatemali, w Iranie, w Europie i w Azji. Gdy kongres amerykański wyasygnował 100 milionów dolarów na cele dywersji za „żelazną kurtyną” — „boss” CIA dołożył wszelkich wysiłków, aby pieniądze te zostały zużyte zgodnie ze swoim przeznaczeniem. I jakkolwiek rentowność tej inwestycji nie była zbyt wysoka, jako że agenci pozrucieli na Polski i Czechosłowacji, ZSRR i Chin raz po raz zasiadali na ławie oskarżonych — Allan Welsh Dulles ma czyste sumienie, o ile tylko człowiek tego pokroju posiada te, jak mawiał Hitler „chimerę”. Starał się wywiązywać ze swoich zadań coraz lepiej.

Dlatego też w roku 1949 została pod jego patronatem utworzona w Stanach Zjednoczonych prywatna organizacja pod dzwiewczną nazwą „Komitet Wolnej Europy”. Dulles — teraz z kolei ten od jawnej dyplomacji — John Foster, oświadczył wówczas, że ów Komitet został powołany „dla działania w tych dziedzinach, w których rząd USA działać nie może”. A ładnie to tak zwał brudną robotę na rodzinnego brata?

Krótko mówiąc — Central Intelligence Agency zyskała sobie jeszcze jedną przybudówkę, a jej szef stał się filarem „Wolnej Europy”. Nie wiadomo wprawdzie dlaczego ciemniejszy Ameryki ma być patronem Wolnej Europy, ale już stary Szekspir zauważył, że „dzieja się dziwy na niebie i ziemi o których się nawet filozofom nie śniło”.

Każdy stara się jak może... Dzięki rozgałęzionym koneksjom Allana Dullesa w Niemczech, sięgającym jeszcze starych, dobrych czasów NSDAP — udało się w mieście Monachium słyszącym dotychczas z grubych Bawaryzów i doskonałego piwa — zaistalować wielką radiostację. Audycje jej mają przygotowywać ideowy grunt dla przyszłych atlantyckich „wyzwolicieli” krajów za „żelazną kurtyną”. Tu właśnie między innymi mieści się redakcja audycji połał się Boże — „Wolnej Polski”. Trochę było z początku trudności z obsadą redakcyjną, ale kanalii nigdzie nie brak, a szczególnie już w Monachium, gdzie koncentrują się męty społeczne pozostające na usługach wszystkich prawie zachodnich wywiadów. Tak więc w niedługim czasie kompletowało się niewielkie, lecz starannie dobrane towarzystwo. Pan hrabia Michał Tyszkiewicz — autor audycji dla... robotników, „Jacek Śniady” — agent „Intelligence Service”, grupa byłych SS-manów prowadzących komórkę „Security” — jednym słowem rodzinne kółko. Esesmani jakoś nie godzą w szczytne uczucia owych „patriotów”, tym bardziej, że tekst każdej audycji nadawanej przez „Głos Wolnej Polski” musi być uprzednio zatwierdzony przez kilku byłych hitlerowców, funkcjonariuszy aparatu propagandy adenauerowskiego rządu. Potwierdził to czarno na białym już w roku 1952 konsul generalny USA w Monachium Charles W. Thayer w swoim wywiadzie dla czasopisma „Munchener Merkur”. To także nie rani „godności narodowej” owych sprzedawczyków, choć tak często przemawiają o niej do mikrofonu. To, że mocodawcy tych panów forsują dziś odbudowę Wehrmachtu neohitlerowskiego i zupełnie otwarcie, bez maski domagają się nie tylko już naszych ziem zachodnich, lecz całej Polski, a nawet „ziem wschodnich aż do Urалу” — również pozostaje w całkowitej zgodzie z ich przekonaniem, jeśli kreatory tego ro-

Pewnego wiosennego poranka roku 1918 zatrzymała się przed parkiem miejskim w Kolonii konna dorożka. Wyśiadł z niej zafęwany jego- mość w średnim wieku, starannie choć skromnie ubrany, o dość przyjemnej powierzchowności. Poprzez sztachety obserwował przez dłuższą chwilę gromadkę wyrostków rozgrywających właśnie emocjonujące spotkanie piłkarskie.

Tego samego jeszcze dnia nadburmistrz Kolonii otrzymał list wyrażający nadzieję na to, że „w Kolonii będzie się szanować nie tylko katolickie, lecz również protestanckie święta”. Nadburmistrz pospieszył z rychłą odpowiedzią: „Wielce Szanowny Panie, ubolewam głęboko nad tym, co się stało. Może pan nie wątpić, że w przyszłości nasi mieszkańcy będą przestrzegać świąt nie tylko katolickich lecz również protestanckich”.

Cała ta stara historyjka nie zasługiwałaby na uwagę, gdyby nie to, że ówczesny nadburmistrz Kolonii jest dziś szeroko znaną osobistością. Zyskał on już sobie ponurą sławę, a gorliwy obrońca nauki Marcina Lutra pozostaje w cieniu, choć odgrywa dziś w pewnym państwie niepoślednią rolę.

Czas zaprezentować obu panów: Dr Konrad Adenauer, dr honoris causa Robert Pferdmenges. Bardzo przyjemnie...

Kiedy „oberbürgermeister” Kolonii zyskał sobie w latach wojennej

drożyny przydomek „gräubenauer” na cześć pęczaku, którym żywił ustawicznie swe owieczki — Robert Pferdmenges, prezes syndykatu bankowego Nadrenii — Westfalii był już jednym z najbogatszych ludzi w Niemczech. Dorobił się krociowych sum podczas pierwszej wojny na pośrednictwie w dostawach i przemysle zbrojeniowym. Wszystkim krajom Europy lata te przyniosły miliony mogił, sierot, wdów. Bankierowi z Kolonii — kilka miliardów marek w twardej walucie i pakietach akcji.

Z tego to właśnie okresu datuje się oparta na wspólnocie interesów przyjaźń pomiędzy Pferdmengesem a Adenauerem. Pierwszy z nich dysponował ogromnymi kapitałami — drugi uchodził za zręcznego i całkowicie pozbawionego skrupułów polityka — czyż jest do pomyślenia lepsza spółka? „Przyjaźń” ta, pozbawiona wszelkiego rozgłosu, trwała przez długie lata dojrzewania fałszywego, który kolonijemu bankierowi przysporzył dalszych kilku milionów kapitału. Pan Pferdmenges prowadził bowiem swe sprawy w sposób głęboko przemysłowy. Fabryki zbrojeniowe Ruhry ruszyły znowu pełną parą. Nie mogłyby one znów toczyć dział i luf karabinowych bez niezbędnych inwestycji, ale Pferdmenges miał fundusze i wszystko było w porządku. Ten człowiek interesu z krwi i kości potrafił również być szczodry. Hojną ręką finansował uzbrojenie Reichswehry, a później, kiedy pewnej grudniowej nocy 1932 r. w willi serdecznego przyjaciela Pferdmenges — bankiera Kurta von Schredera przemysłowcy Ruhry postanowili Hitlera uczynić „führerem” — nie skąpił marek na uzbrojenie hitlerowskiego Wehrmachtu. Bankierzy to ludzie doświadczeni; wiedzą, że taka hojność opłaca.

Okazało się wkrótce, że mieli rację. Surowość przekonania religijnego nie przeszkodziła wówczas Robertowi Pferdmengesowi przywłaszczyc sobie całego domu bankowego Oppenheima, który — jak to się okazało — był „w jednej czwartej nie aryjszym”. Podniósł się nawet głos zarzucający dzielnemu bankierowi brudne konszachty z „niearyjszymi”, ale Pferdmenges uciwiał wykażąc, że niearyjskie pieniądze zostały obrócone na pożytek III Rzeszy. Szef hitlerowskiej służby bezpieczeństwa polecił wówczas o sobiście zrehabilitować od niecnych zarzutów szacownego bankiera, będącego już wtedy członkiem rady nadzorczej najpotężniejszego koncernu zbrojeniowego „Mitteldeutsche Stahlwerke”. Odłąd szybko i bez przeszkód rozwijała się kariera kolonialnego bankiera. Wkrótce sprawował on już nadzór nad milionowymi kapitałami największych przedsiębiorstw przemysłowych poczynając od „Vereinigte Stahlwerke”, poprzez „AEG”, a na licznych kopalniach węgla skończywszy. Wystarczy przypomnieć, że w oficjalnym „Deutscher Wirtschaftsführer” same tylko nazwy przedsiębiorstw i banków wymienione przy jego nazwisku obejmują 32 wiersze drobnego druku.

„Na tej wojnie nikt nie zarobił” — krzyczał Hitler w przededniu września 1939. Robert Pferdmenges zarobił jednak niemało i na wojnie, i na obozach koncentracyjnych, i na głodzie ludności ziem okupowanych, i na kartkach żywnościowych samych niemieckich „bürgerów”. W roku 1945 w rejestrach podatkowych figuruje dr Robert Pferdmenges, faktyczny dyktator hitlerowskiej gospodarki — jako najbogatszy człowiek III Rzeszy.

J.S.



Adenauer: „Tak więc, moi panowie, jesteśmy wreszcie między sobą”. Rvs. Wilke, „Neues Deutschland”

Wszystko rozwijało się więc pomyślnie i życie płynęłoby nadal równie beztrudnie, gdyby nie pewne nieprzewidziane okoliczności, które zadecydowały o całkowitym krachu hitlerowskiej Rzeszy.

*

„Stara przyjaźń nie rdzewieje”. Kiedy Pferdmengesowi zaczął w Berlinie grunt się palić pod nogami, zarówno dosłownie, jak i w przenośni — wspomniawszy starego przyjaciela z Kolonii. Syn bankiera — Heinz, oficer Luftwaffe wyruszył do Kolonii na poszukiwanie i po dwóch dniach zawiadomił ojczulka — wszystko w porządku, Adenauer na miejscu. „Ten człowiek może się przydać teraz jak nigdy — pomyślał Pferdmenges — był przecież zawsze człowiekiem Zachodu”. Okazało się, że postawił na właściwą



kartę. Kiedy dr Robert Pferdmenges przybył wraz z rodziną do Kolonii — Konrad Adenauer był już znowu nadburmistrzem miasta. Sam Pferdmenges otrzymał stanowisko prezesa Izby Przemysłowo-Handlowej. Gra rozpoczęła się znowu od początku.

Trzeba było na wstępie jedynie pokonać pewne trudności. Oto bowiem komisja mocarstw okupacyjnych, badająca zbrodnie wojenne hitlerizmu, sporządziła listę 43 osób uznanych za „tajnych” kierowników finansowej maszyny wojennej hitlerizmu. Pferdmenges znalazł się na tej liście, zajmując poczesne miejsce jako czołowy zbrodniarz wojenny. Ale cóż, nie w takich już opalach się bywało! Poza tym Amerykanie nie traktowali przecież tej sprawy zbyt poważnie. Kilka milionów marek przepłynęło z konta na konto — drobne „nieporozumienie” zostało wyjaśnione i władze amerykańskie ogłosiły wszem i wobec, że dr Robert Pferdmenges jest niewinny jak nawonarodzone dziecko.

Wówczas w Katedrze Kołońskiej odbyła się tajna narada, w której uczestniczyli amerykańscy generałowie, nadburmistrz Adenauer, kardynał Frings i oczywiście „geniusz finansowy” Pferdmenges. Postanowiono zgromadzić sporą „sumkę na cele wyborcze” adenauerowskiej partii a przywódcę jej uczynić „kanclerzem” Trizonii. Pferdmenges zabrał się do tej sprawy z właściwą sobie gorliwością. Sam wniósł na tak zbożny cel milion marek i oto wkrótce Konrad Adenauer wprowadzał się do Palais Schaumburg.

*

Gdy się ma do czynienia z prawdziwym przyjacielem, zasługi nigdy nie idą w niepamięć. „Rączka rączkę myje...” W listopadzie 1949 roku, w willi Pferdmenges pod Kolonią, 12 najwybitniejszych niemieckich przemysłowców i bankierów spotkało się ze swymi amerykańskimi kolegami. Zawarto transakcję w sprawie tzw. „udziału kapitału amerykańskiego w przemyśle Ruhry”, oddając faktycznie zagłębie przemysłowe w ręce amerykańskie.

W nagrodę za inicjatywę i pośrednictwo władze amerykańskie i bońskie powierzyły Pferdmengesowi szereg równie zaszczytnych jak rentownych stanowisk. Został on przede wszystkim przewodniczącym „Specjalnego Komitetu do spraw handlu w USA”, członkiem „Rady Gospodarczej” i jednym z kierowników adenauerowskiej CDJ. Już niedługo potem dr Robert Pferdmenges bierze udział w oficjalnej konferencji przedstawicieli Trizonii z Achesonem i Cloy'em. Nawet boński parlament poczuł się wówczas urażony: „Jakże może Pferdmenges reprezentować interesy Republiki Federalnej, nie będąc żadną oficjalną osobistością!” — Niesforom deputowanym wyłumaczono jednak pokrótce, że nie tyl-

ko oficjalne osobistości są pożądane. Kiedy posłowie z ramienia SPD nadal nieśmiało protestowali — Adenauer odpowiedział im lapidarnie, choć niezupełnie taktownie: — Doktor Pferdmenges posiada większe kwalifikacje niż cała wasza partia!

*

Doprawdy, czego jak czego, ale kwalifikacji nie można panu Pferdmengesowi odmówić. Oczywiście kwalifikacji rutynowanego zbrodniarza wojennego, który potrafi w sposób dyskretny i doskonale wypełniać zawartość safesów bankowych przy pomocy wojennych awantur.

*

Dziś człowiek ten nadal pozostaje wierny zasadom swego pracowitego życia, nie szczycąc się chwałą i rozgłosem w państwie bońskim. Można by nawet powiedzieć, że stał się odludkiem. Nie tawa na żadnym z wykładowych zajęć dyplomatycznych. Będąc od lat kilku posłem do Bundestagu — milczy w parlamencie jak zakłętą. Trudno nawet odukać jego podobiznę na kolumnach gazet. Przez całe siedemdziesiąt pięć lat swego życia był tylko dwukrotnie w kinie — raz przed 25 laty na filmie „Królowa Krystyna szwedzka”, po raz drugi — dwa lata temu na filmie o koronacji królowej brytyjskiej.

Robert Pferdmenges pozostaje w cieniu. I dlatego nie wszyscy wiedzą, że ten niepozorny starszy pan, będący i dziś najbogatszym człowiekiem w Niemczech — jest „szara eminencją” bońskiego rządu i że kanclerz Adenauer nie podejmie żadnej ważniejszej decyzji bez porozumienia się ze swym przyjacielem i najbliższym doradcą.

Dziś znowu jak za dawnych do- brych czasów — Robert Pferdmenges ma pełne ręce roboty. Jeżeli w Niemczech zachodnich trwają obecnie gorączkowe przygotowania do uzbrojenia nowego Wehrmachtu, który wprawdzie ma oficjalnie nazywać się „Streitkräfte”, lecz celem swym nie odbiega od celów swego hitlerowskiego poprzednika — to niemała jest w tym jego, Pferdmenges zasluga. Już dziś dorabia się on nowych milionów marek na wo-



Stare czasy... Młody Robert w mundurze dragona gwardii cesarskiej.

foto „Der Spiegel”

jennych przygotowaniach. Jego kapitały spoczywają w zakładach przemysłu ciężkiego Nadrenii i Westfalii, w kopalniach węgla, liniach komunikacyjnych i bankach. Jedno z pism niemieckich ujawniło niedawno, że m. in. „Gladbacher Wollindustrie AG”, której prezesem jest sam dr Robert Pferdmenges, przygotowuje mundury dla nowej zachodnio-niemieckiej armii. Dywidendy tego przedsiębiorstwa dają na razie akcjonariuszom „tylko” 10 procent. Pferdmenges nie traci jednak nadziei, że dywidendy wzrosną, że podniesie się wskaźnik rentowności przemysłu metalowego, chemicznego. Tak było też w latach trzydziestych... Do tych spraw ma Pferdmenges „dobrego nosa”.

Chyba, że zająć by miały jakieś nieprzewidziane okoliczności i wszystkie powołane plany miałyby pójść na marne. Tak, tak — i to nie jest wykluczone. Bankier weszły uprządkie pieniądze, ale zmysł powontienia właśnie teraz może go zawieść.

Poznałem ją jeszcze wiosną. Był to okres egzaminów i dla niej i dla nas. My kończyliśmy wtedy drugi rok studiów, ona zdawała maturę. Docenialiśmy wagę tego zagadnienia, nie tak dawno przeżyliśmy je sami. Nasze najbliższe wspomnienia obracały się często wokół radoznego okresu beczynności i zdenerwowania, który następuje między ukończeniem szkoły i rozpoczęciem studiów. Poza tym byliśmy dla Krysi przedstawicielami wymarzonego świata studenckiego, o którym myśli się wśród niepewności o los egzaminów wstępnych, a który nie znany jeszcze i nie oglądany z bliska wydaje się symbolem młodości i dojrzałości jednocześnie.

Nasza znajomość układała się bardzo miło, zwłaszcza że rozgrywała się głównie na takim tle, jak Park Łazienkowski w maju i czerwcu. Rozkwitły i pachnący, przesycony zielenością i specyficzną, nieporównywalną atmosferą warszawskiej wiosny, którą trzeba przeżyć koniecznie samemu.

Wiedzieliśmy już wtedy, że Kryśa wybiera się na nasz wydział, a ponieważ na drugim roku człowiek pełni jest pocztą własnej ważności i powagi wiedzy przez siebie posiadanej, przeto udzielaliśmy jej wielu zbawiennych rad, opowiadaliśmy jej anegdotki o studentach i profesorach, nie zapominając przedstawiać siebie w możliwie najkorzystniejszym świetle. Krótko mówiąc: znajomość nasza nie odbiegała zbytnio od tysięcy innych wiosennych znajomości między studentami i maturzystką.

Potem przyszła gorączka egzaminów, w czasie której straciliśmy Krysię z oczu. Po sesji rozpoczęliśmy się praktyki i obóz wojskowy, wakacje i wczasy. Wśród wielu nowych wydarzeń, jakie przyniosło ze sobą lato, wiosenne znajomości uleciały z pamięci.

Na wydział wracaliśmy opaleni i wypoczęci, pełni zapału do nowej pracy, trochę już dojrzałsi a zarazem skłonieni za ludzmi i sprawami, do których w ciągu dwu lat zdążyliśmy się już na dobre przyzwyczaić.

Czuliśmy się już starymi studentami. Na trzecim roku kończyły się przedmioty ogólne a zaczynała praca, w której każdy z nas gorąco pragnął wykazać swe zdolności i zamiłowanie do przyszłego zawodu. Ten rok miał właśnie stanowić decydujące kryterium naszej przydatności. Byliśmy pełni optymizmu, a w poczuciu własnej wartości życiowej i serdeczni dla innych. Wydział nasz przez swoją specyfikę dość luźno związany z uczelnią stanowił odrębną całość grupowaną we własnym gmachu, ześrodkowaną wokół własnych zainteresowań. Zajęcia odbywały się w jednym miejscu, w wielu katedrach spotykały się wszyscy lata, dlatego znaliśmy się dobrze, byliśmy zgrani i solidarni.

Zgodnie z tradycją, obiektem odrębnego zainteresowania był młody narybek pierwszego roku. Oczywiście szczególnie ciekawiła nas jego „piękniejsza” połowa, nasze najmłodsze koleżanki. Wśród nich była także Kryśa.

Wbrew ogólnemu sądowi nie uważałem Krysi za najładniejszą na swoim roku. Było tam wiele ładnych i miłych dziewcząt. Każda z nich posiadała wiele zalet i uroku, niejedna być może przewyższała Krysię i urodą i charakterem. A jednak największą — jeśli tak można powiedzieć — popularność, zyskała sobie właśnie Krystyna. Była to niewysoka, silnie zbudowana, a mimo to nieprzeciętnie zgrabna i proporcjonalna brunetka. Rysy miała niezbyt regularne, zdecydowane i silne, z dużymi łukami czarnych brwi nad ładnymi i zawsze roześmianymi oczyma. Nosek trochę zadarty, usta dość duże i wyraźnie zarysowane. Nad czołem zwiisała jej grzywa, nigdy nieuprządkowanych czarnych i twardych włosów. Te właśnie włosy zawsze budziły sensację. Jeśli od nich zaczęło się opis, każdy natychmiast orientował się o kogo chodzi. Krótko obcięte sterzczały setką kosmyków w najrozmaitsze strony. Zawsze podejrzewałem, że przed wyjściem na ulicę ich właścicielka starannie je rozburza.

Kryśia ubierała się zawsze efektownie i barwnie. Najczęściej była to krasiasta długa spódnica, czarny obcisły sweterek i żółta chusteczka. Mnie obcisłość przypomniała mocny rysunek obrazów szkoły socpłowej, nasycony ciepłym i dojrzałym kolorem.

Krystyna pełna była zapału do swego nowego życia. Od razu zaczęła coś kręcić w tak zwanym dziewczęcinie „agit - propie”, organizowała życie kulturalne w swojej grupie. Cały jej rok wyróżniał się zresztą jako nie tyle zdolny, co bardzo aktywny na wszelkich „niwach”. Oprócz najmłodszych maturzystów, była tam spora grupa trochę starszych, obytych z pracą i zawodowa i społeczną kolegów i kilku USP-owców. W krótkim czasie zyskali sobie miano „roku aktywistów” i zasiedli w szeregu uczelnianych i wydziałowych „władz”. Natomiast Kryśia zyskała sobie, moim zdaniem, zasługę, opinie najładniejszej na roku czy nawet na wydziale. Kilku z nas znało ją już dawniej, inni poznali szybko obozem. Niezadługo do grona jej bliskich znajomych zaliczali się i nasi starsi koledzy i asystenci.

W tym rozgłosie, który otoczył Krysię, duży udział miał Jurek. Był już dyplomantem, a na uczelni cieszył się niezwykłą popularnością. Stary ZWM-owiec, kierował potem w ZAMP uczelnianym kolektywem agitacji i propagandy, wokół którego skupiało się wtedy wszystko to, co nazywamy obecnie pracą kul-

KRYŚIA

ŚLAWOMIR PODOLAK

turalną na uczelni. Wszędzie go było pełno i żadna akcja nie mogła się bez niego obejść. Był to człowiek zdolny i inteligentny, który w życiu swoim wiele przeszedł, w tej liczbie również Dachau, gdzie niewiele dzieliło go już od pieca krematoryjnego. Mimo tych przeżyć nie stracił ani trochę ze swojej młodości i jasnego, aktywnego spojrzenia na świat. Czasami potrafił być niezwykle złośliwy, w sposób bardzo dowcipny i bardzo celny. Wielu z nas było zapartkowanych w Jurka. Słuchaliśmy jego opowiadań, kłóciliśmy się bardzo często zarówno o politykę jak i sztukę, bo w obu dziedzinach doskonale się orientował. Jurek wypowiadał się zawsze niezwykle szczerze, co częstością gromy. Zdaje się, że w ten właśnie sposób rozumiemy obecnie agitację. Kryśia bardzo mu się podobała, o czym nie omieszczał wszystkich w zwykły mu obrazowy sposób powiadomić. Nic dziwnego, że te zachwyty przyjmowaliśmy za własne. Nie wiem czy tak samo myślała Kryśia. Dziś wydaje mi się, że wyrażał jej tym mimowolną krytykę, wtedy jednak trudno było tak przypuszczać.

Jurek nie stał się jednak nigdy sympatią Krysi i nigdy do tego nie dążył, wbrew swoim głośnym słowom.

Zbliżyli się do niej natomiast dwaj koledzy — Janek Zawadzki i Zygmunt Budziak. Przez dłuższy czas nie dochodziło do rozstrzygnięcia. Kryśia chodziła czasem z jednym na kawę, z drugim do teatru. Bywała na imieninach i wieczorkach, czasami pozwoliła się nawet pocałować komuś trzeciemu, czemu nikt się nie dziwił i czego nikt nie traktował zbyt poważnie. Janek z Zygmuntem rywalizowali ze sobą, na co studencka społeczność patrzyła z sympatią, Krysię bowiem wszyscy szczerze lubili.

Szanse tych dwu nie były jednak równe. Zygmunt był jej kolegą z tej samej grupy. Zanim zaczął studia pracował przez kilka lat w produkcji. Pochodził z rodziny robotniczej, z trudem ukończył szkołę i sam się utrzymywał. Nauka szła mu dość dobrze dzięki dużej pracowitości, nie miał jednak przy najmniej na razie tej łatwości, którą nazywaliśmy czasem zbyt pochopnie talentem, a która w naszym zawodzie miała tak duże znaczenie. Nie obca była mu praca społeczna, choć ujmował ją surowiej

niż zwykliśmy to czynić na uczelni. Zebranie roku wybrało go przewodniczącym koła ZMP. Pracował dobrze i chętnie, ceniliśmy go, choć nie był ani byskotliwy, ani efektowny w swej pracy. Tego samego zdania był i Zarząd Wydziałowy.

Janek nie był do niego w niczym podobny. Również Jurka, wysoki dryblas z rozwichrzoną jasną czupryną, wymachiwał rękami i nader łatwo zapalał się do wszelkich poczyną. Uchodził za jednego z najzdolniejszych na wydziale, toteż nikt nie zdziwił się, kiedy został asystentem w jednej z najważniejszych katedr, w której o przyjęciu decydował przede wszystkim talent, bowiem w tej dziedzinie nawet największa pracowitość niewiele mogła zdziałać. W naszej wydziałowej organizacji Janek kierował propagandą, co zresztą szło mu bardzo dobrze dzięki ogromnej ilości zarówno pomysłów jak i energii.

Poprzez Janka poznała Kryśia innych asystentów młodszych i starszych, mówiła im na ogół po imieniu. Janek wprowadził ją w warszawskie środowisko kulturalne. Było tam wielu młodych ludzi, z których każdy miał już na swoim koncie jakieś mniejsze czy większe dzieło, niektórzy poważne sukcesy, zdarzały się nawet nagrody państwowe.

Szanse były nierówne. I nie można się dziwić Krysi, że wybrała Janka. Czy postąpiłabyś inaczej?

Ostatnio często można było ich zobaczyć razem. Janek bywał z nią na zabawach i wieczorkach, w kawiarniach i teatrach. Robił jej masę zdjęć co było jego ostatnią manią. Iłkt zresztą nie miał jej tego za złe. Tyle, że straciliśmy z nią trochę kontakt. Nie bywała już teraz w naszej skromnej „Varsovi”, małej kawiarence przy Nowym Świecie. Czasem można ją było spotkać w „Nastrojowej”, restauracji-dancingu, uchodzącej za najwykwintniejszy lokal Warszawy. Kryśia znała już doskonale sfery kulturalne stolicy. Tam, gdzie widzieliśmy tylko znane z tygodników nazwiska i tytuły, ona widziała ludzi i twarze. W naszych sercach osiadł leciutki osad zazdrości.

Gorzej przedstawiała się sprawa na roku. Kryśia wprawdzie uczyla się nieźle, nadal brała udział w życiu grupy, śpiewała w chórze, ale wśród najbliższych kolegów zaczęła otaczać ją niechęć. Nie trudno zro-

zumieć. Kryśia bliższa była grupie dyplomantów niż pierwszorzecznikom. Asystenci, którzy dla nieobitych jeszcze z uczelnią i niepozbitych siebie, byli czasami postraceni, dla niej byli dobrymi znajomymi, często z nią rozmawiali, uśmiechali się do niej, pomagali. I z ich strony nie było to niczym dziwnym. Ktoż z nas nie uśmiechnie się do ładnej i miłej dziewczyny, nie zamieni z nią kilku słów, nie uchybiając swym obowiązkom. Ale dla kolegów urastało to do problemu. Własne, niezbyt szlachetne uczucia zaczęły co gorsza podciągać pod wyższe kryteria.

W tym samym czasie wynikła u nas kwestia „Naszych Spraw”. Była to gazetka ścienna wydziału, jedna z tych nieicznych czytanych od deski do deski. Redagowana bardzo żywo i ciekawie przez pełen zapału zespół, zyskała nam uznanie w całym środowisku. Kilkakrotnie zdobywała pierwsze miejsce na różnych wystawach, cała uczelnia przychodziła ją oglądać i radzić się kolektywu redakcyjnego. Najlepiej zresztą o tym świadczy fakt, że w chwili zawieszania nowego numeru gromadził się zawsze spory tłumek. Tymczasem przeciwko „Naszym Sprawom” wysunięto wiele zarzutów. Wysły one co gorsza z ust kierownictwa organizacji ZMP-owskiej. Streszczały się do tego, że w gazetce za mało jest zasadniczych, „politycznych” artykułów, że nie wszystkie dowcipy mają treść polityczną, że zjawiska terenowe przedstawiają nam ogólne sprawy polityczne. Jeden z kolegów powiedział wręcz — za dużo „gałczyć” — chodziło o klimat zbliżony (wybaczyć proporcje) do wierszy Gałczyńskiego, co uważano zgola za odchylenie. Nie dziwicie się, był to okres kiedy panował schematyzm i ponurectwo. U nas nie było inaczej.

W rezultacie redakcję zmieniono, tytuł również na bardziej monumentalny — „O socjalistyczną naukę!” a gazetkę... przestano czytać. Ponieważ zaś wyznaczona „odgórnie” redakcja pracowała w odróżnieniu od poprzedniej dość ospale, przeprowadzono badanie, wietrząc tam zakonspirowaną komórkę wroga. W organizacji ZMP-owskiej wytworzyły się jakby dwie grupy — czołowych aktywistów, których nieoficjalnie ochrzcziliśmy mianem „proletkultowców” i tzw. pogaśliwie „inteligenciaków”, do których zaczęło odnosić się coraz bardziej podejrzliwie. Janek przestał prowadzić propagandę, a Jurka, PPR-owca od 1945 r. zapytano zupełnie poważnie czy ewentualnie nie ma zamiaru złożyć swojej legitymacji partyjnej, na co zresztą odpowiedział zwymsianiem pytającego. Wszystko to określano mianem „zaostreżenia walki klasowej”. Doszło do tego, że przy zbliżaniu się niektórych kolegów cichy rozmowy. Atmosfera zrobiła się duszną.

Wśród takich nastrojów na wydziale, Kryśia nie zdążyła egzaminu z matematyki. Nie było to znów takie straszne. Z matematyką rozstawaliśmy się niemal zupełnie po pierwszym semestrze, gdzie była postrachem studentów. Według niepisanej tradycji dwójka z matematyki nie była u nas wielką hańbą. Obok Krysi nie zdążyło jej bardzo



Rys. Jerzy Cwiertnia

wielu. W jej sprawie zwołano jednak specjalne zebranie roku. Zarząd zarzącił jej obecność i wrogostwo klasową, nieuctwo, złe prowadzenie się, demoralizację roku. Na czele zarządu stał Zygmunt.

Zebrań toczyło się w atmosferze pełnej niedomówień, przy drzwiach zamkniętych. Rok wystąpił dość solidarnie. Jeden z kolegów zapytał nawet, ile razy była kochanką Janka. Dziewczyna rozplakała się i przestała mówić. Wobec braku samokrytyki, uznano ją winną i usunięto z ZMP.

Od tego czasu Kryśia poszarzała. Chodziła po wydziale cicha i zmieniona. Po dłuższych zabiegach i kilku specjalnych zebraniach Janek złożył samokrytykę — jak się okazało przez własną ślepotę „związał się z elementem obcym klasowo”.

Kiedy wyjeżdżaliśmy na wieś z czołową artystyczną, Kryśia wstała z łóżka i przyszła na zbiórki mając ponad 38^o gorączki.

— Idź natychmiast do domu! — powiedziałam.

— Nie mogę, czy wiesz co wtedy o mnie powiedzą?

Gdy odszedł Janek, Krysię coraz rzadziej można było spotkać na wydziale, coraz częściej w „Nastrojowej” w towarzysztwie ludzi znanych bardziej z talentu niż z zalet charakteru.

Egzaminu z matematyki Kryśia nie zdążyła po raz drugi. Do komisyjnego już nie doszło. Komisja dyscyplinarna usunęła ją z wydziału „za nieuctwo i demoralizację”. Jak oświadczone decyzja jest ostateczna i nie podlega żadnemu odwołaniu.

Pozostała już tylko „Nastrojowa”. Dochodziły nas słuchy, że Kryśia jest tam coraz częstszym gościem, że interesują się nią ludzie nieomal ze świecznika naszej literatury i sztuki, prawdziwi „inżynierowie dusz ludzkich”. Okazało się, że — interesowali się nią z innej strony. Bardziej osobistej.

Zaczęło się zdarzać, że Kryśia nie wracała na noc do domu. Tak minęło ponad pół roku. Wreszcie po takiej kilkudniowej nieobecności, jej ojciec, wyższy urzędnik któregoś ministerstwa, zapytał, czy tak ma zamiar zwracać mu jego troski i niepokoję nad jej wychowaniem. — A kto mi zwróci samotne noce? — spytała Kryśia i wyprowadziła się z domu.

Potem podobno gdzieś pracowała. Potem podobno ją zwolniono. Kiedy spotkałem Krysię, nie byłam już na uczelni.

— Życie jest takie wstrętne — powiedziała mi.

— Niemadra dziewczynko!

— Nie jestem już dziewczynką, Ślawku! Byłam... kiedyś...

*

Powiecie, że opowiadanie jest pesymistyczne. Myślę, że najbardziej pesymistyczny jest fakt, że podobna sprawa mogła się kiedyś u nas wydarzyć. Piszę o niej dlatego, aby nigdy i nigdzie nie wydarzyła się po raz drugi.

SŁÓWKO OD AUTORA.

Nie zaliczam się do literatów. Sam chcę być w przyszłości tylko inżynierem. Napisałem tę i elaborat, bo zetknąłem się kiedyś z tą sprawą i leży mi ona na sercu.

ZADANIE 15

Człowiek i wielkie cele

W interesującej pracy pod tytułem „Mózg poznaje sam siebie” (Czytelnik 1950) pisze Aleksander Popowski o wielkim uczonym rosyjskim Pawłowie co następuje: „Pawłow nigdy nie stawiał sobie wielkich celów, one same do niego przychodziły” (str. 15). Zadanie polega na wyjaśnieniu sensu tej myśli.

ZADANIE 16

Teologiczna koncepcja stosunków między mężczyzną a kobietą

Przed wstąpieniem w związek małżeński warto zaprzeć do Pisma Świętego, aby przypomnieć sobie, co mówi objawienie na temat stosunków między mężczyzną a kobietą. W szczególności należy przemysleć następujące wersety:

1. Uxores. proptis, viris subijcite vos, ut Domini: quoniam vix est caput uxoris... — w przekładzie księdza Wujka: Żony niechaj będą poddane mężom swym jako panu, albowiem mąż jest głową żony... (List do Efezów, rozdz. V w. 22-23)
2. Neque enim conditus est vir propter mulierem, sed mulier propter virum. Propter hoc debet mulier potestatem habere in capite, propter angelos — w przekładzie księdza Wujka:



STO TYSIĘCY PYTAŃ, kwestii, trudności, problemów, łamigłówek, zagadek i zadań. NIEUSTAJĄCY KONKURS spostrzegawczości, pomysłowości, inteligencji, erudycji, dowcipu, zdrowego rozsądku, wyobraźni poetyckiej, umiejętności rysowania, komponowania, obliczania, odgadywania, demaskowania oraz twórczego, abstrakcyjnego, filozoficznego myślenia — pod redakcją dr. Andrzeja NOWICKIEGO.

Albowiem mąż nie jest stworzony dla niewiaści, ale niewiaści dla męża. A przeto niewiaści ma mieć zwierzchność na głowie dla Aniołów (1 list do Koryntian, rozdz. XI w. 9-10).

Zadanie (tylko dla studentek!) polega na tym, żeby podać, jakie praktyczne wnioski powinna wyciągnąć kobieta z samodzielnego przemyslenia tych tekstów.

ZADANIE 17

Wielokrotne telegrafowanie

Czy i w jaki sposób możliwe jest przesyłanie jednocześnie kilku depesz po jednym przewodzie?

ZADANIE 18

Kopernik i bajki Ezopa

W przedmowie do „Nowych Efemeryd” pisze uczeń Kopernika, Jerzy Joachim Retyk o tym, że Kopernik opowiedział mu kiedyś bajkę Ezopa o kimś, kto mając rozkaz odprowadzić utraconą krowę, bawił się łapaniem ptaków. W rezultacie tych nie uchwycił i samą krowę stracił. Opowiadanie to nasuwa cztery pytania: 1. Jaki jest sens tej bajki i czy dziś studenci mogą się jeszcze czegoś z tej bajki nauczyć? Gdzie znaleźć oryginalny tekst tej bajki (wydawnictwo, rok wydania, strona)? 3. Czy istnieje polska wersja tej bajki u Biernata z Lublina lub u innego pisarza? 4. Kto potrafi napisać krótką, dowcipną, wierszowaną bajkę na ten temat z aktualnym zakończeniem? Można oczywiście nadsyłać odpowiedzi również na jedno z tych czterech pytań.

ZADANIE 19

Wykryć błąd w objaśnieniu

Bardzo słusznie Jan Kott i Jerzy Parvi umieścili w swej „Antologii literatury francuskiej XVIII wieku”

(Książka i Wiedza, Warszawa 1952) przekład dowcipnego wiersza Woltera pod tytułem „Systemy”. W wierszu tym czytamy m. in.: „Malebranche przekonywał, że wszystkim jest w Słowie, należy doń się zwrócić, ono nam odpowie, Arnold mówił, że Bóg w swej mądrości i pieczy po to, by nas polepić, stworzył ród człowieczy, Leibniz ostrzegał itd”

Do Arnolda dodany jest następujący przypis (str. 72): „Arnold z Brescji (około 1100-1155) — mniósł włości występujący przeciw świeckiej władzy papieża, został spalony na stosie”.

Zadanie polega na odkryciu, jaki poważny błąd popełnił wydawca dodając to objaśnienie.

Termin nadsyłania odpowiedzi: 10 lat.

Odpowiedzi na nieustający konkurs „Kto potrafi?” będą nagradzane raz w miesiącu. A oto lista przedmiotów, które już w marcu nagrodzą wysiłek, dowcip i umiejętności najpłodniejszych Czytelników:

1. Teczka skórzana lub aparat projekcyjny.
2. Dobre wieczne pióro lub żywy żółw.
3. Bon książkowy na sumę 150 zł lub 1 kg luksusowych słodczy.
4. —10: Siedem wartościowych książek.

A zatem rozwiązujcie, myślcie, rysujcie i piszcie do nas. Pierwsze wyniki — lista nagrodzonych — i spis dalszych nagród już w marcu! Do otrzymania nagrody wystarczy dobra odpowiedź nawet na jedno pytanie. Na kopercie należy podawać numer pytania, na które nadsyła się odpowiedź.



Mój debiut

Kiedy w marcu 1945 roku zjawiałem się w redakcji „Odrodzenia” miałem już za sobą pierwszy brulion powieści „Oczekiwanie” i kilka opowiadań. Do redakcji przyniosłem dwa, czy trzy opowiadania i pozostałem już w tej redakcji — jako korektor. Było to dla mnie wydarzenie wielkiej wagi, bo oznaczało po prostu pozegnanie z... głodem, który z miesięcy i lat wojennych przeciągnął się po pierwszej miesiącu wolności. Było to dla mnie wydarzenie jeszcze większej wagi o tyle, że w ten sposób podejmowałem decyzję — co wybieram za swą przyszłość: literaturę czy muzykę. Miałem ostatecznie pozostawić literaturę, ponieważ w muzyce miałem już doświadczenia wojny domowej, a doświadczenia wojny domowej są głosem — domagały się oceny i sądu. Dziś wiem, że był on ubogi, nieśmiały, niepełny. Wtedy jednak wahałem się między literaturą a muzyką. Czekając na decyzję, czekałem tylko pierwszej okazji — pierwszej „podkładki” pod decyzję.

I właśnie w marcu 1945 roku zdarzyła się taka okazja. Redaktor „Odrodzenia” Karol Kuryluk nie tylko dał mi pracę w pierwszym literackim piśmie

wolnej Polski, Przede wszystkim — i to było najważniejsze, najcenniejsze, najjaśniejsze domagające się wyboru — zakwalifikował jedno z moich opowiadań do druku. Po miesiącu maszynopis poszedł na linotypy — po sześciu zaś tygodniach ukazał się numer „Odrodzenia”, w którym, o ile pamiętam, znaleźli się najsłynniejsi debiutanci: Kazimierz Brandys, Stanisław Dygat, Wojciech Zukrowski i ja. Od tego właśnie czasu przestałem być pianistą — postanowiłem stać się pisarzem.

Tak więc przedstawia się historia mego pierwszego debiutu. Potem jeszcze przez rok czy dwa przyjaciele-literaci radzili mi, żebym — grał, a przyjaciele-muzycy radzili — pisał. Gdy wyszły pierwsze książki („Oczekiwanie” i „Obcy ludzie”) rzecz stała się już całkiem jasna — a do muzyki w końcu sam wróciłem sposobem czysto już literackim pisząc „Kształt miłości”. Dziś mam za sobą sporo stron druku, doświadczeń, trudów, dobrych i złych pisarskich wzruszeń. Na pozór ów marzec 1945 roku daleki jest bardzo, na pozór stał się już tylko nieco komicznym a nieco sentymentalnym przypomnieniem.

A jednak nie. Jeśli mam być szczerzy muszę wyznać, że przeżycie, którego zakosztowałem wówczas po raz pierwszy, wraca często i po dziś dzień przeżywałem niepokój, nadzieję i strach... debiutu właśnie. Wracała mi tylko przy każdej nowej książce. Często przy niewielkim opowia-

daniu — czasem nawet wobec np. felietonu o Brahmsie. Jest to nie tylko ta treść, która nawet rutynowanym aktorom czy muzykom towarzyszy przy każdym występie, aż po ostatni koncert życia. Powraca bowiem motyw z owej pierwszej decyzji — z owego wyboru: muzyka czy literatura? Jest nim zaś niepokój o pełnię wypowiedzi, o ścisłość oceny ludzkich spraw i sądów o świecie. Z szacunku dla tych przeciwieństw literatury postanowiłem zostać pisarzem. Miarą tych właśnie wartości staram się dziś sprawdzać, czy nim jestem i czy nim pozostanę. I dlatego owo pełne nadziei i niepokoju „wzruszenie debiutanta” powraca ku mnie — dlatego coraz częściej je spotykam. Jeden z moich przyjaciół-pisarzy nazywa je uczuciem: „Nie napisałem jeszcze swojej pierwszej książki”. Przyznam się, że bardzo dobrze go rozumiem.

Rzecz prosta — wszystkie te wzruszenia dojrzałe są od tamtych, od przeżyć sprzed dzieciństwa i pół lat. Nie znaczy to, że są spokojniejsze. Tak samo przynębiać może poczucie niedoskonałości — tak samo zbunować nadzieję czy nawet dumę jak wtedy. Zmieniła się skala spraw — nie zmieniła się ich zasada.

I dlatego pisząc o moim debiucie nie mogę jeszcze zamknąć tematu. Opowiedziałem o pierwszym z nich. Równocześnie jednak uważam go tylko za fragment sprawy. Ciąg dalszy dopiero nastąpi.

Emeryt

Zagubiony w sieci magistralny przystanek kolejowy wśród lasów. Żywicą kapką rozbijane sosny i lśnią świeże poręby. Wczesny, zda się pomarańczowy księżyc toczy się ocieżale po niebie jak zmęczony turysta. Parna noc bez odrobiny wiatru. Pachnie suszem, szyszkami i drzewnym grzybem. Granatowy strop rozgwieżdżony i spokojny.

Andrzej ma dość marszu na dzisiaj, naszych zachwytów, wykrzykników, kolowanie po wertepach i niepotrzebne przystawanie. Krępy, mocno zbudowany, przebiegły jak wytrwały koń. Nasze odpoczynki wśród drogi wyprowadzają go z równowagi i męczą. Na widok niedalekich, w mroku majaczących budynków kolejowych, odkleja wpłataną w czuprynę liście, otrzepuje pył pokrywający ubranie i stęka:

— Witaj stacjo cywilizacji, narzeczone ujrzyć prawdziwą lokomotywę i przestać być parowozem dla początkujących wódczów!

— No, Andrzej — sapnąłem łagodząc — będziesz miał za to za darmo portret. Stefan z wdzięczności nie poskąpi ci talentu.

Zaśmialiśmy się wszyscy trzej; Stefan nawet zapomniał o bolącej nodze. Co za śmieszne skojarzenie — głowa Andrzeja ciekawsza mogła

KAZIMIERZ ORLEWICZ

być dla antropologów niż dla rzeźbiarzy.

Drgający poblask szyn przywrócił nam, na przekór zmęczeniu, dobry humor. Jest to zwykłe uczucie, gdy droga prowadzi znajoma, a sercu nie ciąży żadne troski. Budynek stacyjny przypominał altanę przede wszystkim rozmiarem, a ponadto bajecznie skłębioną bujnością winorośli zwieszającej się w girlandach po starych nietynkowanych murach. Otaczały go majestatyczne kasztany, pod którymi stały białe malowane ławki. W małej poczekalni jakiegoś przedwczesnego pasażera dawał upiór podrożni wesołości.

— Niech obywatelka tak nie dmucha — wołał do kasjerki, kiedy podmuch przeciągu zrzucił położony na parapecie bilet. Bawiło go to widzieć, gdyż powtarzał kilkakrotnie.

Zbliżała się godzina odjazdu i, jak wszystko co staje się nieuchronne, wzbudziła we mnie jakiś dziwny żal: za tą szeroką przestrzenią nieustającego szumu, gorzkociępkim zapachem drzew, za tą stacyjką zagubioną wśród lasów. Żał ten nie był uczuciem bolesnym — wiedziałem bowiem, że wrócę, gdyż kocham tę ziemię. Nagle, po skrzypiących deskach podłogi przeszedł ostrożnymi kroczkami zawiadowca w niemodnej rogatywce na siwych włosach. Przerwało to moją zadumę.

Stefan objął go czulym, rzeźbiarskim spojrzeniem. Zdziwiłem się. Nie spojrzeniem przyjaciela, nie... Zaiste w twarzy przechodzącego było coś nieokreślenie ciekawego — jakieś czujne, badawcze napięcie zdradzały drgające suche mięśnie policzków; odświeżone sterczały szczotki szpakowatych włosów. Zdziwiła mnie niecodziennność jego stroju: znoszony mundur przedwojennego kroju i owa rogatywka. Wiedziałem: takich nie noszono u nas już od dawna. Szedł wyraźnie podniecony, głowę trzymał uroczyście do góry i machał nerwowo czerwoną tarczką kolejarzkiej batuty.

— Dyrygent — wzdychał Stefan. Na jego twarzy zagościło rozmarzenie.

— Wychodzimy — zdecydował Andrzej, gdy stary nas wyminął, zwinnie podążając naprzeciw światła hamującego pociągu.

Ledwo weszliśmy do pustego prawie przedziału, w którego ciemności miarowo drgał świetlik czyjegoś papierosa — pociąg drgnął. Stary zawiadowca podniesionym głosem krzyknął: „Odjazd!” i ruszyliśmy. Jeszcze w księżycowym mroku na peronie zamajaczyła jego wyprężona uroczyście postać, tarcza w podniesionej dłoni, dumnie nieruchoma głowa i już stacyjka uciekła w tył, mignęły pierwsze drzewa, powoli zlewały się w jeden ciemny masowy leśny porzecznik przeciwpożarowymi duktami, jednocześnie ciepłe śmugi drobnego

letniego deszczu zamazały szyby. Pociąg rozpedził się napelniając humorem noc rozsiadłą wśród starej puszczy po obu stronach toru.

— To wcale nie był zawiadowca — odezwał się półgłosem Andrzej, jakby w odpowiedzi na czyjeś pytanie.

— Jak to?

Pociąg biegł coraz prędzej, odrywając krople deszczu od szyb.

— No tak, widzicie, to jest emeryt, był zawiadowcą tej stacji. Obecny zawiadowca opowiadał mi o nim ciekawe rzeczy, dlatego nie sprzedziłem was, chciałem, abyście sami zobaczyli. Ten stary przychodził czasem na stację, grzecznie patrzył na swego następcę, którego wtedy oblatuje, jak mi opowiadał, jakieś „świecenie serca”. Stary narzekał podobno na chorobę piersiową. „Umrę niedługo” — mówi. — Pozwólcie jeszcze, choć jeden pociąg przepuścić. Pozwólcie, a umrę spokojnie”. Tak jest od lat. Co jakiś czas umiera, więc cóż z nim robić? W rezultacie zawiadowca pozwala swemu poprzednikowi wyjść na peron i odprowadzić pociąg.

— Co pan mówi! — krzyknął skulony w kącie młody kolejarz i zapalił nowego papierosa. W błysku zapalki ujrzał, rzecz śmieszna, zaprzyszczony podbródek, wykrzywiony oburzeniem. — Kto jemu pozwalał takie rzeczy robić? Później się dziwił katastrofom!

O wiele więcej zaskoczył mnie małowzrostliwy zawiadowca Stefan. Dopadł kolejarza i szarpnął go za guzik:

— Panie, co pan gadasz? Co za katastrofa przez to, że krzyknął „bie od czasu do czasu „Odjazd!” i pomacha tarczką? Ze przepuści jakiś tam lokalny bumelzug? Czy widział pan jego twarz? To, to była twarz człowieka, który musi, rozumiecie mnie, musi pracować do końca swych dni. A emerytura? Dla rodziny...

— Twarzy, twarzy... — odburknął kolejarz — co mnie obchodzi jego twarz. Ważne jest, że nie do niego ta robota należy. Na to jest zawiadowca.

Zaległo milczenie. Dopiero po długiej chwili Andrzej rzekł, jakby do siebie:

— Nie lubię, gdy się ktoś nadyma jak purchawka. Nie lubię ludzi bezdusznych.

Stefan owinał się w kącie w płaszcz, osłonił połą twarz od strony przedziału i patrzył zadumany w ciemny kwadrat okna. Powiedział bardzo cicho:

— I nas kiedyś czeka starość. Odbierzmy tym latom smak kłeski. Niech mu się wydaje, że świat go jeszcze potrzebuje. Pomyślcie, jaka gorzka jest starość, gdy nie można być użytecznym...

Urażony kolejarz nie odezwał się. Tylko parowóz gwizdał przeraźliwie, strasząc krowy na nocnych pastwiskach. Deszcz w tych stronach już nie padał, lecz na szybko migały nieobeschłe jeszcze krople.

PRR

BARBARA NAWROCKA

Dzień był mglisty — warszawski. Chodniki lśniły wilgocią i drzewa dygotały. Pachniało dymem fabrycznym. Ranek wstał ciężki i smutny.

Nie miałem chęci wyjść na ulicę. Ale trzeba było.

Gdy tak siedziałem w czterech ścianach, zdawało mi się, że jestem w pewnym sensie oddzielony od rzeczywistości — ulicy mego miasta z 1943 r. Słaba to co prawda zapora, ale zawsze.

Byłem w każdym razie sam. Nie musiałem patrzeć na zielone mundury wtopione w tę poranną wilgoć — jak widma. Widmami też zdawały mi się co dzień od nowa. Co dzień przyzywczająłem się od początku do ich widoku na tle miasta i co dzień... burzyło się wszystko we mnie.

Dlatego nie lubiłem tak chwili wyjścia z domu.

Dzień zapowiadał się zapchany zajęciami. Tramwaj był pusty. Konduktor skulony. (Dziwne, jak ludzie swoją postawą potrafią bezwiednie zilustrować nieuchwytny nastrój, którego słowem nie można oddać). Skuliłem się przy oknie także.

Szarpalo na zakrętach, skrzypiało, dzwoniło, podrzucalo. Wpatrzyłem się we własną kłapę u piaszcza.

Konduktor nie wstawał. Nie płaciłem. Milcząc znowa miasta. Jechaliśmy. Zdawało mi się, że nie myślę o niczym. Ale tylko mi się zdawało. W głębi mózgu ciągle kołatało imię Franka.

Spychałem je, usiłowałem liczyć mijane sklepy z kapelusami, nie wychodziło.

Tęskniłem za nim i rozpaczale po nim. Czegośkolwiek bym nie robił — nie mogłem przestać myśleć.

Westchnąłem i puściłem wodze samokontroli.

W taki sam, ni to deszczowy, ni to mglisty dzień niosłem go na plecach wzdłuż wału na Wiśle. Widziałem miecz Syreny polyskujący w mroku. Skradałem się z jego ciałem, drzałem i modliłem się w duchu, żeby go donieść, żeby nie dopadli, żeby go donieść w bezpieczne miejsce.

Jego krew z małej rany po kuli sączyła mi się po karku i miałem wrażenie, że to moja własna wycieka. Niosłem go i zaciskałem zęby, żeby nie płakać. Niosłem własne marzenia i upadki, całą własną przeszłość, piękno i radość — martwe.

Nie mogłem tego dobrze pojąć, bo gdybym zrozumiał do dna, musiałbym krzyczeć w mrok, ku Wiśle, w zaciemnioną, zdławioną grozą miasto. Niosłem przyjaciela, towarzysza, nauczyciela, przywódcę — martwego. Musiałbym krzyczeć Warszawa, że za nią zginął. Był ciężki. Wysilek i napięcie nerwowe silniejsze były niż rozpacz. Całą energię skierowałem na doniesienie go w bezpieczne miejsce.

Tego co po nim zostało — im, nie oddam!

Został zabity skrytobójczo, o siódmej wieczorem, strzałem w plecy. Szliśmy razem. Zanim zorientowałem się co się dzieje, leżał cicho obok mnie na chodniku. Na wale było pusto.

Odbieczyłem rewolwer w kieszeni. Na próżno. Do mnie nikt nie strzelał, naokoło nie było nikogo. Więc podniosłem go i siedziałem wzdłuż Wisły, jak najdalej od miejsca zbrodni. I obracałem w myślach jego ostatnie zdanie: „Nienawidzę cię gorzko konieczność, przyjacielu”. Och, gorzko! Niosłem jej ofiarę. A w sobie wolę zemsty.

Tramwaj przystanął. Wsiadł nieśmiały oficer. Spojrzył na mnie badawczo. Odwrócił się plecami opierając się o łańcuch dzielący na dwie połowy wagon.

Jechaliśmy wzdłuż Filtrów. Żeby nie patrzeć na zielone plecy za łańcuchem, wlepiłem wzrok w szynę. Widok nie był ciekawy. Szary mur okalający filtry ciągnął się monotoniście. Znow przystanek, a na wprost niego świeża, czarna farba wymalowana na murze słowa:

„PRR — to największy wróg”.

Fala wścieklej pasji zalała mi mózg. Tramwaj ruszył. Nie myśląc — działałem. Wyskokiliśmy. Oficer poruszył się niespokojnie.

Tramwaj dzwoniąc odjechał. Rozglądałem się po ulicy. Zapomniałem o wszystkich spotkaniach. Nieprzemyślna nienawiść maciła myśli. Czarne litery palły mi mózg. Chciałem je wydrzeć razem z tyńkiem, wyśkrębać — nie miałem czym.

Stałem bezradny. Naprzeciwko otworzyły się drzwi małej mydlarni. Wpadłem do niej:

— Kredy! Kredy proszę! — Musiałem krzyczeć. Sklepiarka spojrziała na mnie dziwnie.

Sciskając kredę w kieszeni wyleciałem na ulicę. Drzwi strzeliły za mną ostro.

Szedłem wzdłuż murów na Filtrówę i wszędzie dopisywałem jedno słowo: „Hitlera”.

„PRR — to największy wróg Hitlera”.

W zapamiętaniu nie myślałem o niczym. Na ulicach było już ludno. Niektórzy przystawali przyglądając mi się przez moment. Inni uciekali jakby ich ktoś gonił.

Zapomniałem o Niemcach, o okupacji, o śmierci, o grozie, o ulicy, która żyła wkoło mnie.

Dopisywałem kredą to jedno słowo na końcu każdego zdania, umieszczonego na murze pod osłoną nocy tą samą ręką, która zabiła Franka.

Robiłem to w zapamiętaniu, jakby moje życie zależało od tego — nie zachowując żadnych ostrożności. Po prostu szedłem sobie i pisałem. A potem odrzuciłem od siebie kredę, włożyłem ręce do kieszeni i przyszedłem na drugą stronę ulicy. Z odległości — moja robota prezentowała się wcale dobrze.

Wtedy — uśmiechnąłem się.



Rys. Jerzy Cwiertnia

Do miasteczka P. miałem dziś jechać po raz pierwszy. Wysłano mnie, bym znalazł tam dla wojewódzkiej gazety stałego przedstawiciela — korespondenta. Z kilku poprzednich zadań tego typu wywiązałem się dość dobrze ku własnemu i innych zadowoleniu. Polecenie wyjazdu do P. przyjąłem więc chętnie, lekceważąc przestrogi bardziej doświadczonych kolegów. Według ich opinii P. była to zatechła dziura, martwa i nieruchoma od pięćdziesięciu chyba lat.

Dochodziło prawie południe, gdy pociąg zatrzymał się na stacji. Obłoki były nieruchome, dzień gorący, choć słońce w końcu sierpnia nie leje już tego osłabiającego żaru, który męczy i rozleniwia w lipcu. Gdy tylko zrobiłem kilka pierwszych kroków po żwirze peronu, uderzyło mnie w powieczę coś dziwnego, nużącego, co jednak nie było upałem letnim. W atmosferze, w nieuchwytnym zachowaniu ludzi, w całym wyglądzie parterowej stacyjki z czerwonymi pelargoniami: w oknach — było coś charakterystycznego dla małego miasteczka, coś co zwalniało od pośpiechu. Gorliwość i zapał, z którymi wysiadłem z pociągu, okazały się śmieszne wobec nieruchomości tej lepkiej mazi, jaką się nagle poczułem otoczony.

Pociąg wolno ruszył za moimi plecami.

Z biletem w ręku bezradnie rozglądałem się po peronie. Razem z mną wysiadły trzy czy cztery osoby. Widać było, że znali się tu wszyscy, bo wraz z zawiadowcą w czerwonej

jak pelargonii czapce tworzyli półgłosem rozmawiającą grupkę. Witano się, wymieniano przyczyny i cele wyjazdu. Moja obca twarz przyciągała niechętnie spojrzenia.

Skierowałem się wolno w stronę wyjścia opuszczonego przez biletera.

Od dworca do rynku prowadziła szeroka aleja wielkich kasztanów. Zaden bowiem nie poruszał ich liśćmi. Korony drzew sięgały drugiego piętra brzydkich kamieniczek z preprofesjonalnymi balkonikami. Ten sam styl szarych kamieniczek panował na pustym dziś rynku. Widocznie nie był to dzień targowy. Pozamiatany rynek, wybrukowany kocimi łbami nie odbiegał od mego wyobrażenia, a mimo to zatrzymałem się na chwilę z uczuciem, że mi tu czegoś brakuje. Było mi duszno. Dopiero w chwili gdy z głośnika i z otwartych okien popłynął hejnał krakowski — wydało mi się, że już tu kiedyś byłem i uczucie to nie opuściło mnie do końca pobytu w P.

Poznałem poznać całe miasteczko, ale nie zabrało mi to wiele czasu. Moją uwagę zwróciła nowa szkoła TPD i po chwili znów stałem na rynku, do którego prowadziły wszystkie uliczki,

gawileusz

RYSZARD LASSOTA

Zdjąłem marynarkę i podwinąłem rękawy koszuli. Szylid „PZG — Restauracja — Kawiarnia nr 1” przypominał mi o leżących w teczce bulkach i pomidorach. Wszedłem. Lokal składał się z dwu mrocznych, pustych i chłodnych sal. Stołki nakryte czystymi obrusami czekały tylko w pierwszej sali. Druga, dzielona od pierwszej kszamitną, granatową portierą, widać była rzadko używana. Siadłem w rogu między oknem a portierą, herbatę przyniosłem sobie sam, co młoda, zacytana kelnerka powitała z ulgą.

Moją uwagę zajął portier. Przypomniałem sobie, że w P. nie ma ceny ani świetlicy.

Rozmawiałam przerażał mi nagle głos, głos zza kurtyny.

— Piotr, Piotr, ty nie masz racji. Tu nie chodzi o mnie, kochany, to przecież chodzi o moich rodziców... Czy... czy nie mógłbyś tego zrobić dla moich rodziców... i dla mnie, Piotr, no, dla mnie. Dla świętego spokoju naszego życia. Piotr.

Głos rwał się od nadmiaru bólu, troski, uczucia. Mógł należeć tylko do młodej dziewczyny. Zamartłem. Milczenie trwało chwilę.

Głos mężczyzny, który jej odpo-

wiedział, zdradzał, że jego spokój narzucony był siłą.

— Kochanie, ty już nie chodzisz o to, czy ślub będzie w kościele czy nie. Mario, tu chodzi o jakiegoś naszą postawę w życiu. Co ono będzie warte, jeśli już od początku będzie oparte na nieuczciwości wobec nas samych i ludzi wierzących. A pomyśl: jeśli mi teraz ustąpię rodzinę, to co będzie z nią? A przecież będą dzieci. Jak sądzić: skąd potem weźmiemy siły, aby bronić naszych przekonań w ciągu całego życia, jeżeli od początku pojdziemy drogą kompromisu?

Chłopiec urwał. Był widać jeszcze młody, bo chwila mi się nawet głosem załamywał. Wolno męszalem: herbatę, nieświadomie czekając na dalszy ciąg rozmowy. Nic nie było słychać.

— Pocałuj mnie, Piotr — powiedziała w pewnej chwili cicho dziewczyna za portierą.

Bez hałasu wstałem, zapłaciłem za herbatę i wyszedłem. Znowu uderzył mnie dziwny spokój i nieruchliwość pustego rynku. Nabierałem powietrza.

— A jednak się porusza — powiedziałem głośno i szybko ruszyłem przed siebie.

paradoksy

CZYTELNICZE

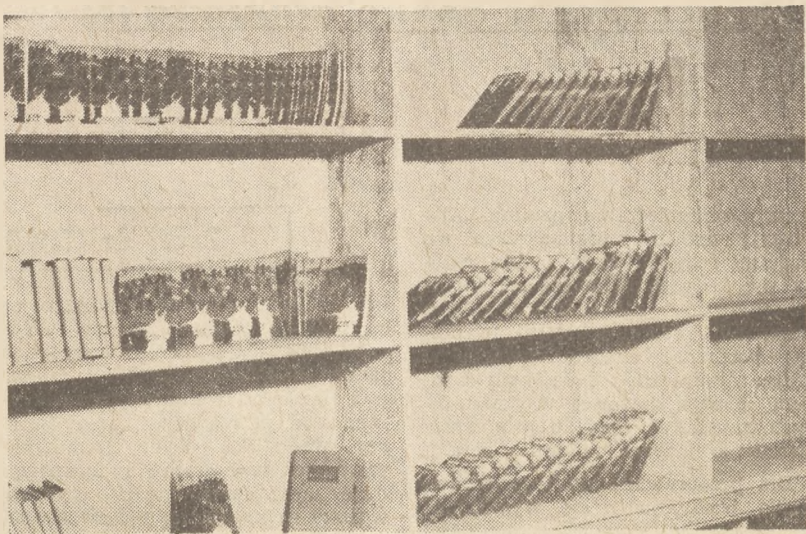
Poznań, który odwiedziłem ostatnio, nie jest na pewno wyjątkowym środowiskiem studenckim. Przeciwnie, sądzę, że poznańskie domy studenckie są bardzo typowe, chociaż nieomal w każdym z nich sprawy książki, biblioteki, czytelnictwa wyglądają zgoła inaczej.

I tak — w „akademiku” Szkoły Inżynierskiej przy ulicy Armii Czerwonej nie ma w ogóle biblioteki. Co czytają koledzy z poznańskiej „inżynierki” nikt nie wie. A może w ogóle nic nie czytają?!

Czy Biblioteka Miejska nie może tam założyć wymiennego punktu bibliotecznego, składającego się na razie choćby z trzystu książek? Czy

dokładacie, koledzy, starań, by taki punkt w waszym domu otworzono?!

Niewiele jest z pewnością i takich oryginalnych księgozbiorów, jak w Domu Studentek Akademii Medycznej przy ul. Szamarzewskiego. Jedna książka wypada tu mniej więcej na 3 studentki. W pokoju bibliotecznym całą ścianę na lewo zajmują półki. Na zamieszczonym tu zdjęciu widzicie właśnie ich fragment. I to fragment wyjątkowo reprezentacyjny — półki biblioteczne z książkami. Wszystkie inne bowiem części tych półek są puste, to znaczy niezupełnie, leżą tam jakieś rupiecie, stare plakaty, no i wszędzie obowiązkowo warstwy kurzu.



Czy jednak coś was na zdjęciu nie niepokoi?

Przyjrzyjcie się dokładnie. Oto po prawej stronie sami „Obywatele” Brandysa — czterdzieści cztery pozycje. Podobno poza tym sześć tomów „Obywateli” jest w czytaniu. Po lewej stronie półtorej półki zajmują „Herkulesey” Stawińskiego i nieliczna ilość pozostałych pozycji tzw. różnych. Wśród nich tak „pasjonujące” lektury, jak: Piotra Biegańskiego „Pałac Słazica” — siedziba Tow. Nauk. Warsz. albo Bubejnikowa „Bogactwa Ziemi Radzieckiej” z geologicznej biblioteki popularno-naukowej.

Jestem zdumiony.

— No dobrze, ale po cóż wam tyle „Obywateli” i „Herkulesów”?

Przewodnicząca Rady Mieszkaneł uśmiecha się rozbrajająco i odpowiada:

— Bo widzicie, „Herkulesami” oświecamy młodzież pierwszych lat. Dla starszych mamy „Obywateli”, zresztą w kwietniu chcemy do nas zaprosić Brandysa.

— No, a jak ktoś przeczytał już „Herkulesów” i „Obywateli”, albo nie ma po prostu na to ochoty, a

cuająca biblioteka ma już bogaty księgozłór. W przeciwnym razie stwarzamy ze wszech miar paradoksalną sytuację — biblioteka jest, a nie ma co czytać.

I druga sprawa — biblioteki miejskie rozdzielają zazwyczaj książki, jakby to były jabłka, które straganiarka sprzedaje tak jak idą. Należy przeciwdziałać temu i nie przyjmować martwych pozycji.

Wejdźmy na chwilę do biblioteki największego poznańskiego Domu Studenckiego im. Hanki Sawickiej. Patronem jest Uniwersytet Poznański. I tutaj do niedawna działało się niezbyt dobrze. Inicjatywa Rady Mieszkańców przy współudziale opiekuna z ramienia Uniwersytetu do spraw wychowawczych i kulturalnych — mgr Markiewiczowej, okazała się jednak skuteczna. Biblioteka Miejska w Poznaniu chętnie wyraziła zgodę na utworzenie tu swojej filii. Już w połowie stycznia br. po udostępnieniu odpowiedniego pomieszczenia, nadesłano pierwsze książki. Dziś kierowniczą filii — Emilia Wilkowska — rozporządza na użytek



chciałby zapoznać się na przykład z „Sonatą Kreutzerowską” Lwa Tolstoja albo z „Colas Breugnon” Romain Rollanda?!

— To sobie poszuka gdzie indziej — mówi rezolutnie dziewczę, które obarczone troską o tę dziwną niby — bibliotekę.

Powiedzmy to sobie szczerze — takie organizowanie biblioteki akademickiej, jak to zrobiono w DS na Szamarzewskiego jest przynajmniej mało sensowne. Jeśli nawet istnieje racja gromadzenia większej ilości egzemplarzy tych samych pozycji książkowych, to wydaje się, że jedynie wtedy, gdy dobrze pra-

studentów zbiorem sięgającym niemal 2 tys. tomów beletrystyki.

Według zapewnień dyrektorki Biblioteki Miejskiej jeszcze w tym roku filia ma liczyć 6 tys. tomów. Już obecnie biblioteka w DS im. Hanki Sawickiej zawiera duży wybór klasyków literatury polskiej i obcej oraz poważniejsze pozycje współczesne.

Wrażenia, jakie wynosimy z odwiedzin biblioteki w Domu Studenckim na Stalingradzkiej w Poznaniu, są jak najbardziej optymistyczne. Można je zamknąć w krótkim spostrzeżeniu: takich bibliotek jak najwięcej.

dej kolejno granej sztuki w danym teatrze.

3. Wprowadzenie na okres 2—3 lat dwutygodniowych, letnich lub zimowych kursów dokształcających, szczególnie dla eksternistów (nawet z dyplomami), nie mówiąc już o kandydatkach do egzaminu eksternistycznego.

4. Zapewnienie odwiedzin poszczególnych teatrów przez wybitnych ludzi teatru starszego i młodego pokolenia.

5. Uregulowanie odwiedzania przez młodych innych teatrów, także zagranicznych.

Z zakresu spraw bytowych: Opracowanie systemu przeszerzgowania młodych kadr, co wiąże się także z koniecznością opracowania nowej umowy zbiorowej w ogóle.

Poza tym wydaje mi się, że ZG ZMP mógłby wprowadzić wyróżnienie dyplomem lub odznaką bardziej zastrzeżonych młodych twórców, w tym aktorów i reżyserów.

Należałoby też zastanowić się chyba nad formami pracy kół twórczych przy teatrach, które dotychczas chodziły trochę „samopas”, nie znajdując pomocy ani z zewnątrz, ani wewnątrz teatru.

Spodziewam się, że na naszej Naradzie padnie dużo konkretnych propozycji dotyczących spraw młodzieży w teatrach. Spodziewam się również, że potrafimy widzieć nie tylko wyodrębnioną, samistną „sprawę młodych w teatrze”, ale znaleźć przede wszystkim właściwe miejsce dla młodych współtworzących ze starszymi nowy, wielki teatr.

Muszę kończyć ten list. Z powrotem sięgam po egzemplarz „Młodości ojców”. Jutro pierwsza czytana próba. Za kilka dni — pierwsza generalna próba umiejętności analizowania i decydowania o naszej młodości w teatrach.

ZDZIŚLAŃ CZĘJEWSKI
Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

BAJKI LAFONTAINE'A (1621 — 1695) W NOWYCH PRZEKŁADACH

Rzeźbiarz i posąg Jomisza

Marmuru cudny glaz kupuje

— W zachwycie rzeźbiarz pewien.

— Co dluem — rzecze — zeń wykuję?

Boga, stół, misę? Nie wiem.

Bogiem niech będzie, gdyż ochota

Przyszła mi, by w prawicy

Miał piorun. Duchem znoście woła

I drżycie, śmiertelnicy!

I zdziałał majster nasz tak celnie

Konterfekt Jowiszowy,

Iż osądzono niepodzielnie,

Ze brak mu tylko mowy.

Krażyła nawet plotka znana,

Ze gdy dokonał dzieła,

Ugięły ię pod nim kolana —

Taka bojaźń go zdęła.

Podobny był tu do poety,

Który, gdy zmyślił bogi,

Zląkł się, że dotknie go, niestety,

Ich piorun i gniew srogi.

Jak dziecię drżał, obawą zdjęty

Przed rychłą zemstą boską:

By lalki miały spokój święty

Jest wieczną dziecka troską.

Za sercem umysły podążą —

A jakie stąd owoce?

Liczne pogańskie błędy grają

Nie jeden lud w pomroce.

Jak kochankowie szczęśliwi

Gonić będą mamidla:

Pigmalion swą Venus ożywi

I złapie w miłosne sidła.

Nikt z nas nie szczędził zachodu,

By ziszczyć swoje rojenia:

Człowiek dla prawdy jest z lodu,

Ale dla kłamstwa — z płomienia,

Przel. J. ROGOZIŃSKI

Lew i mucha

Wynoś się, obrzydliwco, gadzino, wywlokło!

W te oto słowa

Ozwał się lew do muszki,

I wojna gotowa.

— Czy sądzisz — rzecze muszka — że takie wyrazy

I to, żeś król — do strachu przed tobą mnie zmusza?

Wół jest przecie od ciebie większy ze sto razy,

A też mnie zupełnie nie wzrusza!

Niby trąbka zabrzęczy, niby żołnierz, tak dręczy

Lwa w ataku i w boju szalona

Raz ucięła go w krzyże, za chwilczkę zaś niżej

Wreszcie w kark — taka uprzykrzona.

Lew wściekły, grzywą ciska, okiem toczy i błyska,

Zawył w końcu — i cisza się stała,

Zmilkło wszelkie stworzenie, drżąc ze strachu szalenie,

Kto zaś winien? Mucha, i to mała.

O! O! Znowu napała! W sto miejsc naraz się wkradła,

W grzbiet ugryzła, pod grzywą się wtuła,

To mu w nosie leciutko łapką grzebie malutką

Szał najdzikszy ogarnął lwa — króla!

Zeby takie ładaco, co nie wiadomo na co

Zyje przecie, wzbudzało w nim dreszcze,

Bez klów nawet, bez szponów, nie zna w walce pardonu,

I zwycięża, i śmieje się jeszcze?

Sił mu w końcu nie stało, więc sam sobie zadaje

Śmierć. — Sam siebie rozszarpał. Wnętrza ności

— Strach poparł — rozprute! Ogonom niby knutem

Bije w ziemię. Padł wreszcie, Z wściekłości.

Muszka radośnie bżyka i wesoło pomyka, i tam i tu,

Wiadomość o zwycięstwie rozgłasza co ichu,

Dwoi się, troi, leci,

Wtem w pająka wpada sieć. I tam też ją śmierć spotkała.

Tak się bajka kończy cała.

Jakiż morał z niej dla nas? Ze czasem tak bywa,

Iż nieraz rzecz niewielka, i nader szkodliwa,

I że, ciężkich opresji uniknąwszy, zda się,

Łatwo możesz śmierć znaleźć w blahym ambarasie.

PRZEL. J. DACKIEWICZ

Pod znakiem sporów o nowy teatr

(Dokończenie ze str. 1)

normalnych zajęć, we współpracy z kolegami z wydziału reżyserskiego. Tym samym usprawiedliwiał on niejako słabą działalność własnej sekcji teatralnej. Podobnych przykładów było więcej.

Czy z tego można wyciągnąć wniosek, że przedstawiciele Warszawy to sceptycy, nie mający ambicji ani chęci wzięcia udziału w tworzeniu ambitnego, śmiałego teatru? Oczywiście nie. W gorących dyskusjach podczas przerw w obradach twierdzili oni na ogół zgodnie, że pragną teatru, który by silnie przemawiał do widza, któryby dawał mu głębokie emocjonalne przeżycia, że chcą tworzyć taki teatr i pracować w nim. Ale nie wydaje im się, aby można było załatwić to poprzez efektywną, teoretyczną koncepcję. To „prywatne” stanowisko nie znalazło niestety odbicia w oficjalnych wypowiedziach, zubożając tym dyskusję.

Referat kol. Grotowskiego wymagał merytorycznej krytyki. Wiele jego sformułowań było wykoncypowanych, nie zawsze znajdujących uzasadnienie w konkretnej, warsztatowej pracy teatru. Ale jednocześnie było w nim wiele z młodzieńczych porządów i wyobrażeń o nowym, silnie przemawiającym do szerokich rzesz widzów teatrze. Lenin powiedział, że marzenia są piękne i twórcze wtedy, kiedy się je potrafi uporczywie realizować w codziennym trudzie. Gdyby przedstawiciele PWST, porzucając lokalne ambicje, przyjęli wspólną płaszczyznę dyskusji i poddali krakowską koncepcję rzeczowej, wyczerpującej krytyce, urealnili by na pewno śmiałą myśl stworzenia nowego teatru, na którym im równie zależy.

I jeszcze jedno. Nie ulega wątpliwości, że wizja, idea wymarzonego teatru pomaga grupie krakowskiej w zdobywaniu wiedzy i praktyki aktorskiej. Świadczyć może o tym kolektyw, który po skończeniu studiów wyjechał do Teatru „Wybrzeże” i może się już poszczycić dużymi osiągnięciami („Optymistyczna tragedia” czy „Pan Puntila”).

Każda nowa koncepcja teatru, choćby najśmielsza, pozostanie bezużyteczna, jeżeli nie wyjdzie poza teoretyczne sformułowania. Dopiero praktyka wykaże jej słabe strony i zmusi do drobnych korekt czy też poważnych odstępów i zmian. Teoretyczne sformułowania kol. Grotowskiego, nie poparte — jak już wspominałem — warsztatowymi doświadczeniami wymagały zaistnienia się nad praktycznymi ich zastosowaniem w pracy Koła Naukowego. Tego niestety, dyskusja nie przyniosła.

Słyszano się natomiast głosy oponentów, że w Kole Naukowym niepotrzebne jest wymyślanie teoretycznych koncepcji. Zrobią to lepiej nasi twórcy teatralni. Zgoda,

o ile to mają być koncepcje dla koncepcji i nie poza tym. Tak chyba jednak nie jest w wypadku Koła Naukowego krakowskiej PWSA. Cel swojej pracy w postaci wyrażonej koncepcji teatru wielkich uczuć, jaki postawili sobie studenci tej uczelni, cel, który w ostatecznym kształcie może daleko odbiegać od pierwowzoru, jest ogromnym bodźcem pobudzającym do systematycznej nauki, do poszerzania swej wiedzy i starannego przygotowywania się do pracy w teatrze. A to jest chyba głównym zadaniem działalności Koła Naukowego.

Sprecyzowanie tego celu to połowa powodzenia w pracy koła. Zaś brak go, to dreptanie w miejscu i rozbijanie się o byle jaką przeszkodę. Świadczyć może o tym choćby najważniejsza w Kole Naukowym PWST sekcja aktorska, która najslabiej pracuje.

W sprawozdaniu ze Zjazdu celowo ograniczyłem się do jednego dominującego w dyskusji problemu. Inne poruszone przy tej okazji zagadnienia, jak np. rewizja przeładowanego programu studiów, czy też konieczność stworzenia teatrów eksperymentalnych przy szkołach wymagają oddzielnego omówienia.

Dyskusja nad nową koncepcją teatru, nie pojmowaną oczywiście w sposób dogmatyczny, i rolą młodzieży w jej tworzeniu stanie się jednym z tematów Ogólnopolskiej Narady Młodych Aktorów i Reżyserów, która odbędzie się w Warszawie w dniach 7 i 8 marca. Skonfrontowanie śmiałych planów i zamierzeń z doświadczeniem i znajomością pracy w teatrze starszych kolegów da na pewno interesujące i wielce pouczające rezultaty.

MARIAN KUSA

Przed Ogólnopolską Naradą Młodych Aktorów i Reżyserów

DRODZY KOLEDZY!

Już właśnie decydowałem się na wystanie do Was depezy, że jednak artykułu o sprawach młodzieży teatralnej nie napiszę, gdy podano mi wspólne (co za miła niespodzianka o historycznym znaczeniu) pismo ZG ZMP i ZG SPATIF. Nareszcie Ogólnopolska Narada Młodych Aktorów i Reżyserów! To, co tak ostatnio często i uporczywie postulowano zarówno w „Przedpolu” i innych czasopiśmie, jak i w niezarejestrowanych nigdzie rozmowach — staje się faktem. Jakże więc nie wypowiedzieć się radośnie z tej racji!

Odkładam na chwilę egzemplarz „Młodości ojców” Gorbatowa, nad którym właśnie pracuję i choć w pewnej mierze spełniam życzenie redakcji.

Narada Młodych Aktorów i Reżyserów odbędzie się teraz, gdy XIII

Sesja Rady Kultury i Sztuki, gdy II Zjazd ZMP i przede wszystkim III Plenum Partii — obnażyły już szereg ogólnych niedomagań naszego życia i co więcej, wskazały na sposoby ich naprawienia. Choć wcale nie naszym, młodzieżowym podwórku teatralnym nagromadziło się dużo spraw trudnych, czasem nawet bolesnych, wydaje mi się, że obecnie łatwiej będzie można zanalizować i łatwiej znaleźć sposoby mądrego ich rozwiązania. Od dnia 1 listopada 1953 roku, kiedy to w liście do redakcji „Sztandaru Młodych” zaproponowałem zwołanie ogólnopolskiej narady młodych „teatralników” — ukazało się wiele cennych wypowiedzi na temat problemów ideowo-artystycznych i warsztatowych w teatrze, dalszego dokształcania się, spraw bytowych, doświadczeń organizacyjnych itp.

Z wieloma dyskutantami zgadzam się całkowicie, z niektórymi częściowo, i z paroma nawet nie. Cóż, rzecz normalna. I w tym krótkim liście do redakcji zawsze milego mi POPROSTU — nie zamierzam bynajmniej ani „ustosunkowywać się”, ani też odkrywać nowych problemów. Po prostu przyjmując, że świadomość niedostatków i konieczności walki z nimi w imię pełniejszego oblicza ideowo-artystycznego zespołów teatralnych jest w każdym z nas, pozwolę sobie po prostu jedynie kilka tylko form realizacji naszych zasadniczych postulatów.

A więc z zakresu spraw ideowo-artystycznych:

1. Wprowadzenie jednolitego systemu długofalowego szkolenia z estetyki marksistowskiej i aktualnych zagadnień kulturalnych. Musi to oczywiście nastąpić dopiero po opracowaniu programu takiego szkolenia i po wydaniu odpowiednich skryptów. Trzeba pomyśleć o kadrze wykładowców i sposobie ich docierania do teatrów terenowych.

2. Wprowadzenie stałych, początkowo wyraźnie obowiązujących dyskusji nad realizacją sceniczną każ-



Teatr Nowej Warszawy: „Niemy” K. uczkowskiego, praca dyplomowa studentów PWST w Warszawie. Foto: COPIA

Jądro atomu — potężne źródło energii

Prof. dr IGNACY ZŁOTOWSKI



Maria Curie-Skłodowska z mężem

Gdy Maria i Piotr Curie badali przed pół wiekiem po raz pierwszy własności odkrytych przez nich nowych pierwiastków promieniotwórczych — polonu i radu, uwagę ich zwrócił szczególnie zastanawiający fakt, iż w każdym preparacie promieniotwórczym wywiązuje się nieustannie ciepło. Niezbyt precyzyjne pomiary, przeprowadzone w 1903 roku przez Piotra Curie i Laborde'a, wykazały, że 1 gram radu stanowi praktycznie stałe źródło ciepła wydzielającego się w ilości około 100 kalorii na godz.

Dopóki nauka nie zdołała wyjaśnić mechanizmu przemian promieniotwórczych, zjawisko samorotnego wywiązywania się ciepła w preparatach radowych było wykorzystywane przez wielu badaczy przyrody reprezentujących światopogląd idealistyczny jako rzekomy dowód powstawania ciepła „z niczego”, wbrew obowiązującej we wszechświecie materialistycznej zasadzie zachowania energii.

Występując przeciwko tego rodzaju próbom metafizycznej interpretacji zjawisk przyrody, Maria Skłodowska-Curie wypowiedziała śmiało, że źródłem wyprymienionowatych energii są konkretne przemiany chemiczne zachodzące we wnętrzu substancji promieniotwórczych. „Nie są to jednak, bynajmniej — pisała nasza wielka uczona — zwykłe przemiany chemiczne, albowiem w zwykłych przemianach chemicznych atomy pozostają niezmienione. Natomiast jeśli coś ulega zmianie w substancji promieniotwórczej, to muszą to być własności atomu, ponieważ promieniotwórczość jest przywiązana do atomu”.

W ciągu niespełna kilku lat badania prowadzone przez uczonych w różnych krajach potwierdziły słuszność poglądu Marii Curie. Przekonano się doświadczalnie, że każdy rozpad promieniotwórczy polega na swoistej przemianie jednego pierwiastka chemicznego w inny. Tak na przykład rad ulegający samorotnemu rozpadowi daje dwa inne pierwiastki — radon i hel, produktami zaś rozpadu polonu są hel i ołów. Upłynęło jednak jeszcze całe dziesięciolecie zanim poznano szczegóły przebiegu zachodzących przy tym zjawisk.

Przed wszystkim udowodniono, że siedliskiem przemian promieniotwórczych jest nie cały atom, lecz tylko jego część centralna, nazwana jądrem atomowym.

Dalszy rozwój nauki o budowie materii pozwolił ustalić, że poszczególne atomy, składają się z dodatnio naładowanego jądra o wymiarach rzędu 10^{-13} — 10^{-12} cm oraz otaczającej je powłoki naładowanych ujemnie elektronów w poruszających się w obszarze o średnicy rzędu 10^{-8} cm. Stwierdzono także, że jądro atomowe stanowi z kolei bardzo złożony układ cząstek jeszcze prostszych — elektrycznie obojętne neutrony i dodatnio naładowane protony. Liczba tych ostatnich równa się zawsze liczbie elektronów powłoki zewnętrznej i nosi nazwę liczby porządkowej danej odmiany atomowej (gdy odpowiada kolejnemu numerowi odnośnego pierwiastka chemicznego w Układzie Okresowym Mendeleejewa), natomiast ogólna liczba zawartych w jądrze neutronów i protonów (zwanych ogólnie nukleonami) nazywamy liczbą masową.

Jak wykazały dotychczasowe badania, każdy pierwiastek chemiczny posiada kilka odmian atomowych o tej samej liczbie porządkowej, lecz o różnych liczbach masowych. Odmiany te posiadają więc tę samą liczbę elektronów w powłokach zewnętrznych, lecz różny skład i różną budowę jąder atomowych. Niektóre z tych odmian (zwanych izotopami) danego pierwiastka są wybitnie trwałe, inne zaś ulegają samorotnemu rozpadowi promieniotwórczemu, który stanowi w rzeczywistości przemianę chemiczną zachodzącą we wnętrzu jąder atomowych, czyli — używając przyjętej dziś terminologii — reakcję jądrową.

W świetle naszej obecnej wiedzy o przebiegu reakcji jądrowych możemy nie tylko wyjaśnić mechanizm samego zjawiska rozpadu promieniotwórczego, ale — co najważniejsze — wskazać źródło wydzielającego się w preparatach promieniotwórczych ciepła. Oto, ulegające rozpadowi jądro atomu radu ($^{226}_{88}\text{Ra}$)

(główna liczba umieszczona przy symbolu pierwiastka wyraża liczbę masową, dolna zaś — liczbę porządkową danej odmiany atomowej) zawiera 226 nukleonów, w tym 88 protonów i 138 neutronów. Produktami rozpadu są — jądro atomu radonu ($^{222}_{86}\text{Rn}$), tzn. cz. st. alfa stanowiąca jądro atomu helu (^4_2He)

oraz promieniowanie gamma. Aby wykryć źródło wydzielającego się podczas rozpadu radu ciepła należy przede wszystkim zbadać bilans energetyczny zachodzącej w tym przypadku reakcji jądrowej, to znaczy porównać energię zawartą w jądrze atomu radu z ogólnym zasobem energii zawartej w powstających na skutek rozpadu promieniotwórczego jądrach radonu i helu.

Dla przeprowadzenia tego porównania posługujemy się wynikającą ze szczególnej teorii względności i podaną nieomal jednocześnie w roku 1905 przez Alberta Einsteina i Pawła Langevina prostą zależnością matematyczną $E = mc^2$, która wiąże wzajemnie ze sobą masę (m) i energię (E) dowolnej ilości materii. Występujący w podanym wzorze współczynnik c wyraża szybkość światła w próżni i wynosi ok. 300.000 km/sek. Wielkość tego współczynnika wskazuje na to, iż nawet znikome ilości materii zawierają w sobie potężne zasoby energii. Łatwo wyliczyć, że całkowita ilość energii zawarta w 1 gramie dowolnego rodzaju materii wynosi w przybliżeniu 25.000.000 Kwg to jest niespełna tyle, ile stanowi dzienne zapotrzebowanie energii elektrycznej całej Szwajcarii.

Korzystając ze wzoru Einsteina — Langevina można (znając masy spoczynkowe jąder radu, radonu i helu) obliczyć zawarte w nich ilości energii. Przeprowadzony rachunek wykazuje, że zasób energii jądra radu jest znacznie większy od ogólnego zasobu energii jąder radonu i helu. Z drugiej zaś strony, stosunkowo proste pomiary i obliczenia pozwalają określić dokładnie energię kinetyczną wyrzucanej podczas rozpadu jądra radu cząstki alfa oraz odrzucanego jednocześnie w kierunku przeciwnym jądra radonu, jak również energię emitowanych kwantów promieniowania gamma. Uzyskane tą drogą wyniki liczbowe prowadzą do wniosku, że suma energii kinetycznej produktów rozpadu i promieniowania gamma równa się dokładnie różnicy pomiędzy energią jądra radu a ogólną energią zawartą w jądrach radonu i helu. Rozpad promieniotwórczy jądra atomu radu prowadzi więc w rezultacie do tego, że część ukrytego w tym jądrze zasobu energii ujawnia się pod postacią energii kinetycznej produktów rozpadu oraz energii kwantów gamma. Innymi słowy, mamy tu do czynienia z typowym przykładem wyzwolenia określonej ilości energii jądrowej.

Ponieważ wyrzucane z jądra radu cząstki alfa, jak również powstające jądra radonu zostają w dużym stopniu zatrzymane w samej substancji promieniotwórczej, przeto znaczna część uniesionej przez nie energii kinetycznej ulega zamianie na ciepło, co powoduje wspomniane przez nas na wstępie nagrzewanie się preparatów radowych. Dokładne pomiary mas i energii produktów wszystkich kolejnych przemian promieniotwórczych, które zachodzą w każdym preparacie radowym, potwierdziły uzyskany niezależnie wynik doświadczalny, że w 1 gramie radu wyzwala się w ciągu godziny energia jądrowa w ilości równoważnej ok. 140 kaloriom ciepła.

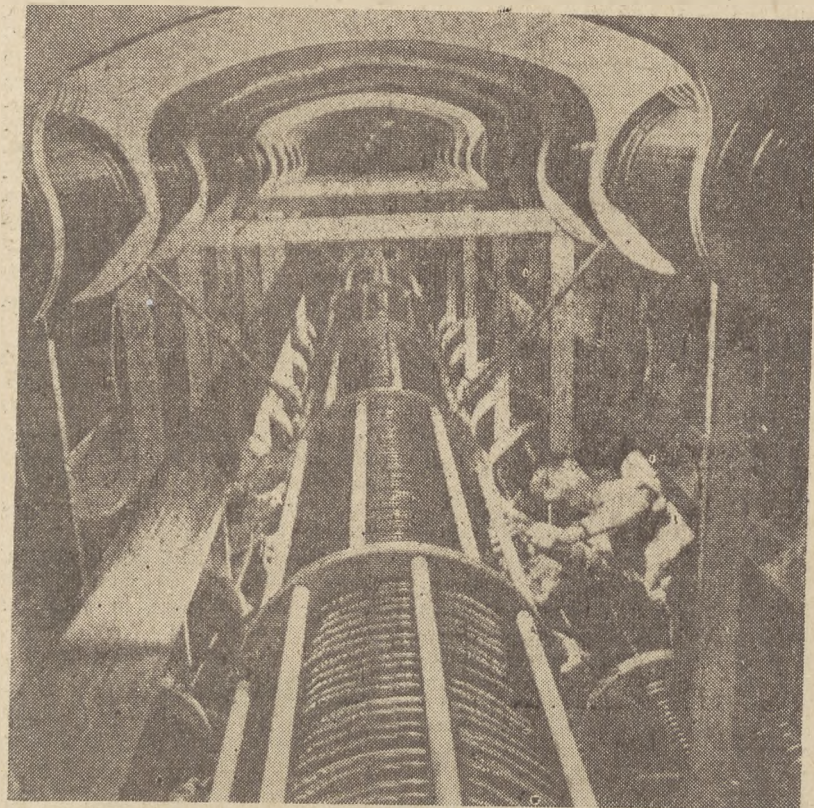
Na pierwszy rzut oka wydaje się, że występujące tu efekty ciepłe są nad wyraz skromne. Wszak przy spalaniu 1 grama dobrego węgla wydzielają się około 8.000 kalorii. Istotnie, lecz uzyskane 8.000 kalorii stanowią całkowitą ilość energii jaką można osiągnąć z 1 grama węgla poddającego spalaniu, gdy tymczasem gram radu wydzielają ciepło nieustannie w ciągu wielu tysięcy

lat. Ścisłe pomiary wykazały, że w ciągu godziny ulega rozpadowi zaledwie 1/200.000.000 część wszystkich jąder radu zawartych w jakimś preparacie promieniotwórczym. Wynika stąd, że rozpad promieniotwórczy wszystkich jąder atomowych zawartych w 1 gramie radu spowoduje wyzwolenie energii jądrowej w ilości równoważnej $140 \times 200.000.000 = 28.000.000.000$ kal., to jest ok. 3.500.000 razy większej niż wynosi ciepło spalania takiej samej ilości węgla.

Niestety, prawdopodobieństwo samorotnego rozpadu radu jest tak niewielkie (po upływie 12.000 lat w

cząstkami alfa o stosunkowo dużej energii, wskutek czego reakcja ta nie tylko nie może służyć jako źródło energii jądrowej, lecz przeciwnie, wymaga jeszcze doprowadzenia pewnej ilości energii z zewnątrz. Przyczyną tego stanu rzeczy jest przede wszystkim fakt, że suma mas (a za tym i zasób energii) powstających jąder tlenu i wodoru jest większa od ogólnej masy (a za tym i zasobu energii) jąder azotu i helu.

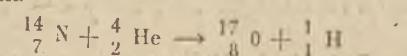
Choć znakomite osiągnięcie Rutherforda nie umożliwiło jeszcze wyzwolenia energii z wnętrza jąder atomowych, podobnie jak się to dzie-



Tak oto wygląda fragment instalacji wysokiego napięcia służącej do przyspieszania cząstek bombardujących.

każdym preparacie radowym pozostaje jeszcze około 99% początkowej ilości jąder radu, które nie uległy rozpadowi, a ilości radu jakie występują w skorupie ziemskiej są tak znikome, że mimo tych potężnych efektów energetycznych nie można było myśleć o praktycznym wykorzystaniu tego pierwiastka promieniotwórczego w charakterze źródła energii użytkowej. Równie nierealne okazało się wykorzystanie jako źródła energii jądrowej innych promieniotwórczych odmian atomowych, występujących w stanie naturalnym w przyrodzie. Lecz zarówno rozważania teoretyczne, jak i szeroki wachlarz prac doświadczalnych przemawiały za tym, że nie tylko rozpadowi promieniotwórczemu, ale każdej przemianie jądrowej powinien towarzyszyć efekt energetyczny miliony razy większy od efektów obserwowanych podczas zwykłych reakcji chemicznych.

W 1919 roku uczony angielski Rutherford zdołał urzeczywistnić pierwszą w dziejach sztuczną reakcję jądrową, polegającą na przemianie jąder zwykłego azotu w jądro jednej z odmian atomowych tlenu w myśl schematycznego równania

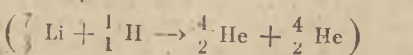


gdzie w charakterze bombardujących jąder helu użyto cząstek alfa wysyłanych przez preparat promieniotwórczego polonu. Pomiary Rutherforda i innych badaczy wykazały jednak, że dla zrealizowania tej reakcji trzeba rozporządzać

je podczas przemian promieniotwórczych, tym niemniej utworowało drogę ku ostatecznemu rozwiązaniu tego doniosłego zagadnienia. Wkrótce bowiem wykazano, że bynajmniej nie wszystkie reakcje jądrowe będą przebiegały w sposób analogiczny do pierwszej transmutacji Rutherforda. W licznych przypadkach zasób energii produktów reakcji będzie mniejszy od zasobu energii substratów, wskutek czego tego rodzaju przemianom powinno towarzyszyć wyzwolenie pewnej ilości energii jądrowej.

W ciągu długich lat największą przeszkodą w realizacji wielu dających się pomyśleć reakcji jądrowych był brak dostatecznie silnych strumieni energetycznych cząstek bombardujących. Preparaty promieniotwórcze do tego celu nie wystarczały, zwłaszcza, że były one źródłem wyłącznie cząstek alfa, które z racji swego dodatniego ładunku elektrycznego i stosunkowo dużej masy z trudem przedostawały się do wnętrza również dodatnio naładowanych jąder atomowych.

Uzenci na całym świecie zajęli się więc budową specjalnych urządzeń przeznaczonych do przyspieszania pocisków jądrowych. Początkowo posługiwano się do tego celu instalacjami wysokiego napięcia (patrz zdjęcie). Dzięki takiej instalacji zdołano wreszcie w 1932 roku przeprowadzić po raz pierwszy w laboratorium reakcję jądrową, której towarzyszyło wyzwolenie znacznej ilości energii jądrowej. Reakcja ta polegała na bombardowaniu lekkiego metalu litu przyspieszonymi protonami. Powstające przy tym dwie cząstki alfa



wnoszą ze sobą nadwyżkę energii jądrowej w ilości około 17 MeV. Dla porównania podamy, że efekty energetyczne zwykłych reakcji chemicznych są rzędu kilku eV.

Niebawem, dzięki zastosowaniu niezwykle pomysłowych metod przyspieszania cząstek bombardujących bez użycia bardzo wysokich napięć, zrealizowano cały szereg tego rodzaju reakcji. Żadna z nich jednak nie mogła w dalszym ciągu służyć jako praktyczne źródło energii jądrowej, gdyż przy ostatecznym obrachunku okazywało się, że energia zużyta na wytworzenie i przyspieszenie bombardujących cząstek alfa, protonów lub deuteronów zawsze przewyższała globalną ilość energii wyzwolanej podczas realizowanej reakcji jądrowej.

Nowe perspektywy odsłoniło przed energetyką jądrową wykorzystanie w charakterze pocisków bombardujących — swobodnych neutronów. Cząstki te, pozbawione ładunku elektrycznego, mogą bez trudu przenikać do wnętrza jąder atomowych. Co więcej, jak wykazała praktyka a później uzasadniła teoria, w większości przypadków neutrony o małej energii (t. zw. neutrony powolne) są bardziej skuteczne niż neutrony obdarzone dużymi szybkościami. Stwierdzono, że liczne reakcje jądrowe uskuteczniają się za pomocą powolnych neutronów oddziałujących z dużymi efektami energetycznymi.

Lecz reakcje te także nie nadawały się do praktycznego wykorzy-

stania energii jądrowej. Przede wszystkim dlatego, że ze względu na niezmiernie małe rozmiary jąder atomowych, podobnie jak przy użyciu innych cząstek „bombardujących”, również i przy użyciu neutronów istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo „trafienia” pojedynczego jądra, a tym samym wywołania odpowiedniej reakcji jądrowej. Dla zwiększenia tego prawdopodobieństwa niezbędne jest upełnienie potężnymi strumieniami „pocisków” neutronowych, których źródłem mogą być tylko inne reakcje jądrowe, wymagające z kolei bardzo energetycznych protonów, deuteronów lub cząstek alfa. Toteż do końca 1938 roku sytuacja wydawała się beznadziejna. Problem praktycznego wykorzystania energii jądrowej wciąż czekał na rozwiązanie.

Momentem prawdziwie przełomowym było dopiero dokonane na początku 1939 roku odkrycie nowego typu reakcji jądrowych, przebiegających pod działaniem powolnych neutronów. Reakcje te polegają na rozszczepianiu („pękaniu”) jąder atomów ciężkich, np. uranu, na dwa jądra lżejsze o bardzo zbliżonych masach. Już pierwsze pomiary wykazały, że zgodnie z przewidywaniami teoretycznymi, temu nowemu rodzajowi reakcji jądrowych towarzyszy efekt energetyczny przewyższający niemal dziesięciokrotnie ilość energii wyzwolanej podczas zwykłych transmutacji. Tłumaczy się to bardzo dużą różnicą pomiędzy zasobem energii ulegającego rozszczepieniu jądra uranu a całkowitą energią wewnętrzną wszystkich produktów rozszczepienia. Dla pojedynczego rozszczepienia różnica ta wynosi około 200.000.000 eV. Niebawem zaś przekonano się, że reakcja rozszczepienia uranu odznacza się jeszcze jedną cechą, która zadecydowała ostatecznie o możliwości wyzwolenia energii jądrowej na skalę przemysłową.

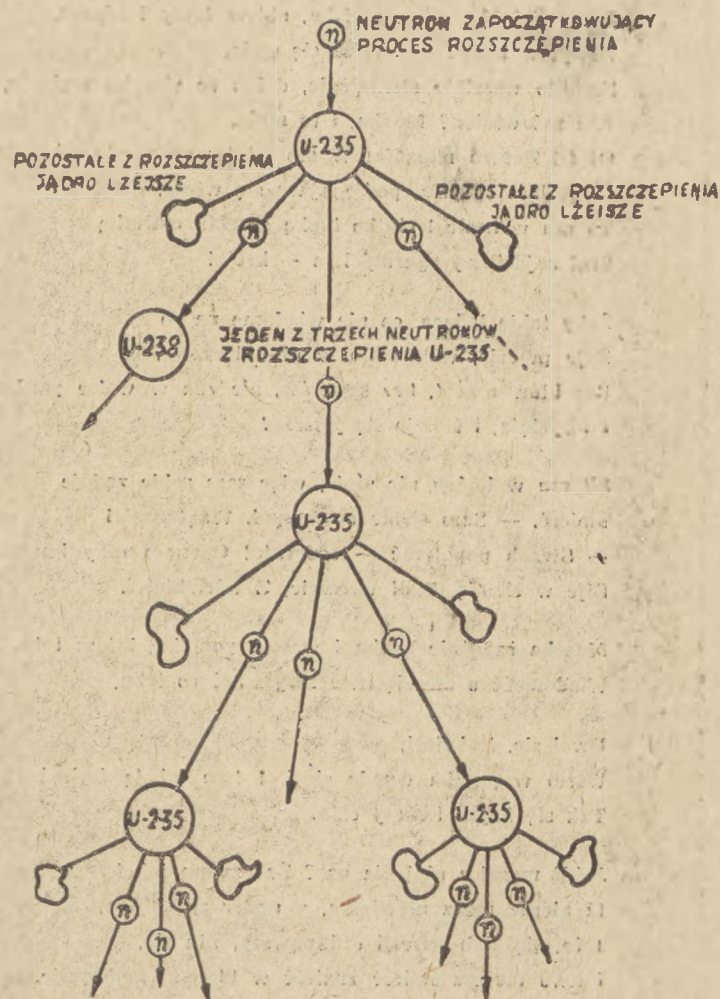
Jak wspomnieliśmy, rozszczepienie jąder uranu zachodzi szczególnie łatwo pod działaniem neutronów. Aby więc wywołać rozszczepienie dużej ilości jąder uranu trzeba rozporządzać olbrzymimi ilościami neutronów. I oto źródłem niezależnych neutronów okazała się sama reakcja rozszczepienia. Produktami „pękania” pojedynczych jąder uranu są bowiem nie tylko dwa lżejsze jądra atomowe, lecz także dwa lub trzy swobodne neutrony zdolne do wywołania rozszczepienia dalszych jąder uranowych.

W ten sposób raz zapoczątkowany proces rozszczepienia rozprzestrzenia się samorotnie w całej masie uranu, i to z coraz większą szybkością, podobnie jak wywołany przez przerwienie zapalniczki płomień ogarnia coraz szybciej znajdujące się w pobliżu materiały palne. Mówimy, że proces rozszczepienia uranu przebiega w sposób łańcuchowy (patrz rysunek). Gdyby istotnie wszystkie neutrony wyzwolone podczas „pękania” jąder uranu powodowały dalsze rozszczepienia, wówczas w bardzo krótkim czasie proces rozszczepienia objąłby całą masę materiału uranowego powodując gwałtowny wybuch. Tego rodzaju zjawisko występuje w chwili wybuchu t. zw. bomby atomowej.

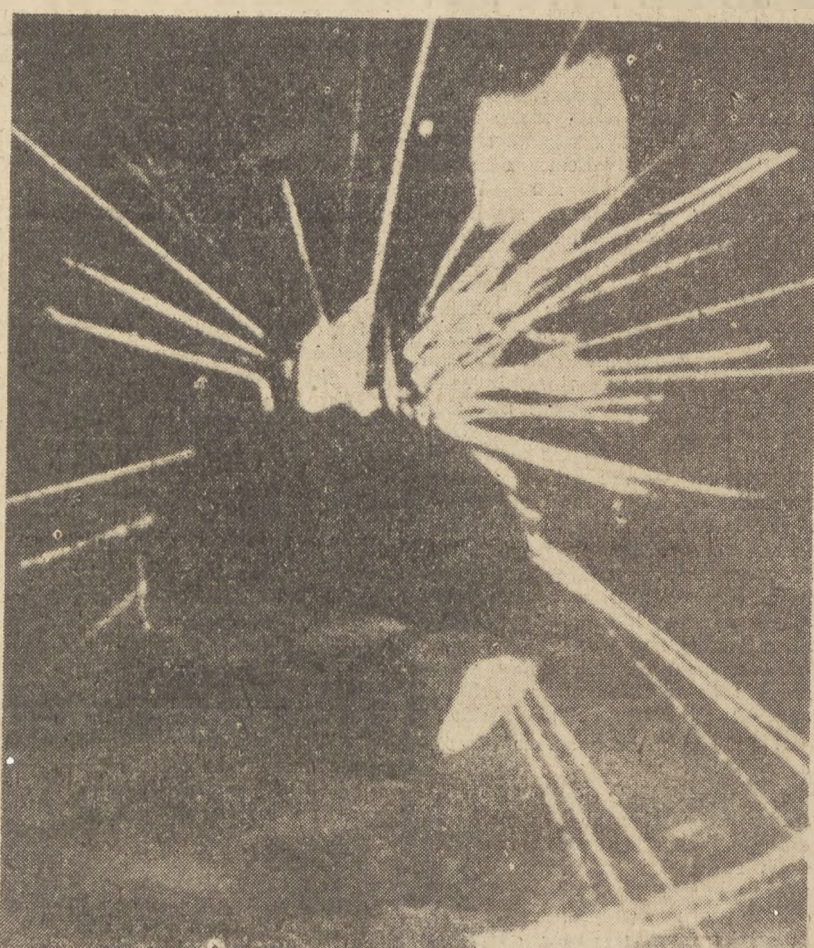
Należy jednak nadmienić, że w skład naturalnego uranu wchodzi głównie dwa rodzaje atomów, odpowiadające dwóm izotopom tego pierwiastka. Jeden z nich, o liczbie masowej 238 (oznaczany często symbolem U-238), stanowi ok. 99,3%, drugi zaś — o liczbie masowej 235 (U-235) — zaledwie ok. 0,7%. Ponieważ „pękaniu” ulegają w pierwszym rzędzie jądra U-235, dla zapewnienia dużej szybkości łańcuchowego procesu rozszczepienia konieczne jest posługiwanie się czystym izotopem U-235 lub przynajmniej uranem poważnie w ten izotop wzbogaconym. Jeśli natomiast operuje się uranem naturalnym lub tylko słabo wzbogaconym w U-235, wówczas znaczna część powstających neutronów zostaje pochłonięta przez olbrzymi nadmiar jąder U-238 bez wywołania rozszczepienia i zapoczątkowana reakcja łańcuchowa przebiega z miarkowaną szybkością, co umożliwia wykorzystanie wyzwolanej przy tym energii jądrowej do celów przemysłowych.

Prosty rachunek, oparty na tych samych rozważaniach, które przytoczyliśmy poprzednio przy omawianiu energetyki rozpadu promieniotwórczego radu, prowadzi do wniosku, iż rozszczepieniu 1 kg U-235 towarzyszy efekt energetyczny rzędu 20.000.000.000.000 kal. Ponieważ, jak widzieliśmy, spalanie 1 kg węgla daje ok. 8.000 kal., łatwo wyliczyć, że dla uzyskania ilości ciepła odpowiadającej rozszczepieniu 1 kg uranu trzeba spalić do 3.000 ton najlepszego antracytu. Albo mówiąc inaczej, zasób energii jądrowej wyzwolanej w łańcuchowym procesie rozszczepienia 1 kg U-235 pokrywa całodenne zapotrzebowanie energetyczne siłowni elektrycznej o mocy 200.000 kw.

Te kilka cyfr świadczy aż nadto wymownie o doniosłości praktycznego wykorzystania reakcji rozszczepienia jąder uranu (wzgl. innych pierwiastków ciężkich) jako źródła energii użytkowej. Służące do tego celu urządzenia techniczne noszą nazwę reaktorów (lub stacji) jądrowych. Ich budowę i działanie omówimy w następnym artykule.



SCHEMAT PRZEBIEGU REAKCJI ŁAŃCUCHOWEJ ROZSZCZEPIENIA U-235



Czy można zobaczyć „rozbijany atom”? W pewnym sensie — tak. Właśnie na powyższym zdjęciu widzimy proces rozszczepiania jądra litu, które bombardowane protonami daje energetyczne cząstki alfa. Zdjęcie dokonano w komorze Wilsona.

G r u n t o h a s ł o !

Podczas oczekiwania na wykłady chciałem przejrzeć codzienną prasę. Gdy jednak w tym celu udałem się do uczelnianej świetlicy, spotkało mnie rozczarowanie. Pod stołem leżały jedynie dwie stare, zniszczone gazety. Wpinacze wisiały puste na



ścianach. I wtedy niespodzianie spotkałem przybysza z POPROSTU, Marka Zakrzewskiego. Udał się do pokoju przewodniczącego KU ZSP, aby omówić nasze uczel-

niane kłopoty. Zaczęliśmy od aktualnej skargi na brak prasy w świetlicy. Na to oburzył się jeden z członków KU ZSP. Postanowiliśmy rozstrzygnąć tę sprawę zajrzawszy do świetlicy.

Wchodząc tam powtórnie nie wierzyłem własnym oczom. Piękne, równe, czyste, pachnące jeszcze farbą drukarską wisiały na wpinaczach gazety. „Szkoła — powiedziałem — że to wczorajsze”. Jednak mojego głosu nikt nie dosłyszał, a koledy z ZSP triumfowały.

Dziennikarz odjechał. Gazety zawieszono w tym pamiętnym dniu wisiały 3 miesiące aż opadły na podłogę. Ostatnio ZSP zabrało nawet wpinacze, zaś w świetlicy WSE, przez którą dziennie przewija się około 400 studentów, pozostało tylko wspomnienie, że niegdyś do czasu do czasu znajdowały się tu jakieś (chętne czytane) czasopisma. A

na ścianie świetlicy wisiało hasło: „PRASA UCZY I WYCHOWUJE”. Hasło jest prawdziwe i piękne, jednak same hasła nie dają. Studentom chciałoby mieć również gazety. Tylko KU ZSP jest innego zdania.

EMIL GARCZYŃSKI
WSE — Częstochowa

Bez dymu...

„INACZEJ NIŻ DOTĄD!” — pod tym hasłem Zespół Pieśni i Tańca wrocławskiej WSE urządził wieczornicę i zabawa dla uczniów starszych klas Techników Handlowych, Finansowych i szkół ogólnokształcących.

Było to jakby spotkanie kandydatów na wyższe uczelnie ze studentami. O imprezie tej warto napisać chociażby dlatego, że odbiegła znacznie od utartych wzorów naszych dotychczasowych zabaw.

Na przykład nasz balet wystąpił po raz pierwszy w historii uczelni... w niezadymionej sali.

Chór pod dyktando prof. Wyciska dał swój program złożony z pieśni



Ziemni Dolnośląskiej. Potem śpiewali rewelers i skocznie przygrywała orkiestra.

Palenie na sali tanecznej, tak w czasie występów jak i zabawy, było wzbronione — szkoda tylko, że nie wszyscy koledzy jak np. Andrzej Kula chcieli o tym pamiętać, przekreślając tym samym jakże słuszne zamierzenie organizatorów: „SPIEWAMY I TANCZYMY BEZ DYMU TYTONIOWEGO”...

MARIAN SOSIŃSKI
WSE — Wrocław

MĘCZYZNOM
nie wolno

Regulamin Domu Studenckiego zatwierdzony przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego przewiduje, że dla zapewnienia mieszkańcom minimum swobody wszelkie wizyty mają odbywać się w godzinach popołudniowych, do ósmej wieczorem. Do tej pory koleżanki mogły zapraszać swych kolegów, kolega może odnieść koleżance pożyczony zeszyt, „sympatia” może odwiedzić „sympatię” itp. Tak jest na ogół we wszystkich miastach.

Na ogół — bo w Poznaniu inaczej. W Poznaniu wizyty chłopców na

(Dokończenie ze str. 1)

nie sesji. Teraz jeszcze jest czas, za miesiąc będzie już za późno. A najważniejsze — przemysł to wszystko i zrozumiemy, że nie jesteśmy inni, gorsi od ciebie. I to jeszcze zrozumiemy, że nie życzymy ci zła.

Dyskusja rozwija się, zatacza coraz szersze kręgi. Siega się do źródeł naszych błędów — skostnienia organizacji, braku inicjatywy, nieudolności aktywu, który oderwał się od szeregowych zetempowców i teraz sam nie wie co ma robić.

Padają propozycje, żądania, wnioski na przyszłość.

— Chcemy zebrań, ale ciekawych, o tematyce, która nas obchodzi, żywo interesuje. Dlatego by nie zorganizować dyskusji o miłości, stosunku chłopca do dziewczyny? Dla czego by nie podyskutować nad tym jak rozumiemy szczęście, w czym się ono dla nas zawiera?

— Chcemy, żeby aktywiści częściej zwracali się do nas, wsłuchiwali się w nasze żądania i brali je do serca.

Dyskusja nie skończyła się razem z zebraniem. Trwała w grupach — twórcza, wytykająca błędy poszczególnych osób, nie tylko aktywistów ale i wielu innych szeregowych członków organizacji. Wnioski kształtowały się w plany pracy na przyszłość, ujęte konkretnie, z wy-

Winogradach są zabronione. Wstępu do dziewcząt broni zarządzenie rektora Wyższej Szkoły Ekonomicznej.

Podobno na zebraniu mieszkańców z udziałem obywatela rektora były jakieś głosy oddolne odwołujące się do ogólnie obowiązującego regulaminu, ale zostały uznane za nieistotne.

A więc „mężczyznom do DS wstęp wzbroniony”. Bieda tylko z

znaczeniem ludzi odpowiedzialnych za ich realizację.

Potem odbyło się zebranie wyborcze, na którym przewodniczącą Zarządu obrano lubianą i cieszącą się ogólnym zaufaniem Maszę Kotonską. Wybrano do Zarządu również Leszka Jęczyńską, który przy dobrych chęciach potrafi wnieść wiele nowego, ciekawego do pracy organizacyjnej.

Stało się to czego dotychczas nie było w naszej organizacji na roku — nowoobрани Zarząd z miejsca przystąpił do pracy. Nie gorączkowo, hurra — entuzjastycznie jak to się czasem zdarzało — ale spokojnie i skrupulatnie, dokładnie rozważając każdy punkt planu przyszłej pracy.

Wszystko to działo się na miesiąc przed II Zjazdem Związku Młodzieży Polskiej.

ZAMIAST EPILOGU

Sporo czasu upłynęło od napisania tego artykułu. Pisałem go na gorąco, trochę chaotycznie — będąc pod bezpośrednim wrażeniem tych wszystkich wydarzeń.

Nie potrafię ze ścisłością matematyka wylizować wszystkich zmian, jakie nastąpiły u nas od tego czasu. Może jednak uda mi się wydobyc kilka faktów świadczących o dzisiejszej atmosferze w naszej organizacji — niewątpliwie nowej, zdrowszej.

Dziśkowski zdał egzaminy sesji zimowej z dwiema bardzo dobrymi

tym, że dom na Winogradach jest koelekucyjny...

Studenti zamieszkali w tym „surowym domu” jakoś sobie jednak dali radę... Nierzadko też można spotkać w pokojach dziewcząt studentów spoza DS. Siedzą, rozmawiają, odpisują notatki, grają w „pchełki”. Okazuje się, że samo życie znosi owe klasztorne przepisy.

Kiedy za głosem życia pójdą „twórcy” sztywnych zarządzeń?

i jedną dobrą oceną. Opowiadali mi koledy z „akademika”, że uczył się dużo, dokładnie i szedł na egzamin z prawdziwie opapanym materiałem. Zresztą widać to było jeszcze na ćwiczeniach, do których był świetnie przygotowany. Andrzej nie zyskał jeszcze w pełni sympatii roku. To nie dzieje się nagle. Ale Andrzej chce ją zyskać i każdy z nas widzi duże, korzystne różnice w jego obecnym postępowaniu. Okazało się, że przy wyeliminowaniu za rozumiałości, Andrzej może być dobrym kolegą i solidnym studentem. To jeszcze warto zaznaczyć, że atmosfera koleżeńskości i zaufania — trochę na kredyt a trochę już zdobyte — ułatwia Dziśkowskiemu pozbycie się jego złych cech.

Kilka dni temu zebraliśmy się całą grupą u Helenki Tajtelbaum. Z początku było trochę sztywno, bo po raz pierwszy spotykamy się w prywatnym mieszkaniu, w warunkach zupełnie niepodobnych do tych codziennych, uczelnianych. Trochę napiętą atmosferę rozkładują składkowe paczki i takież herbata, przy których nawiązują się swobodnie, wesoła rozmowa o wszystkim — poczynając od „Ceny strachu” a kończąc na marzeniach o wycieczce do Zakopanego. Potem słuchamy wierszy Ratajczaka — ciepłych i trochę smutnych liryków, które wprowadzają nas wszystkich w nastrój rozmarzony, melancholijny. Trudno nam dyskusować nad tymi wierszami — zbyt jesteśmy wzruszeni. Masza Kotonska patrzy gdzieś w okno niewidzącym wzrokiem, zamysłona. Ona podobno też pisze wiersze. Rozchodzimy się o jedenaście, wdzięczni Ratajczakowi za piękne chwile.

W przedostatnią niedzielę odbyła się wieczornica naszego roku. Wieczornica była skromna, bez hucznej części artystycznej i szerokiego programu. A jednak różniła się czymś od poprzednich.

Trudno sprecyzować tę różnicę. Może polegała ona na specyficznej domowej atmosferze prywatnego wieczorku, w gronie starych, dobrych przyjaciół. Nie było szepotów po kątach, ploteczek, znaczących niedopowiedzeń i złośliwości — co zdarzało się u nas niejednokrotnie. Nie było tego wszystkiego — bo zostało rozłożone dwa miesiące temu. Bawiliśmy się beztrosko i swojsko, nawet gdy Antos Dąbrowski pomylił figury prowadząc walczyka. I po raz pierwszy w historii naszych wieczornic żalowaliśmy, że jest już późno i trzeba się rozstać.

Jest jeszcze jedno, nowe, u nas na roku. To jednak najnudniej uchwylić. Czasem dostrzegam je w uśmiechu Irki Muchy, żarciku Hanka Długoskiej, zapalonym projekcie Jęczyńsk. W tym, że do pomocy Ładziakowi, w przygotowaniu do egzaminu z „opisówkami”, zgłosili się natychmiast aż trzy osoby. W tym, że po zajęciach ludzie nie biegają natychmiast do domu, ale idą razem całą grupą, i zawsze jest o czym pogadać, z czego się pośmiać. Ze Halina przychodzi na wykłady choć ma zwolnienie z dyscypliny studiów, a Soszyńska coraz częściej przygląda się do zajęć. W tym, że pomysł zorganizowania dyskusji nad „Godziną smutku” nie został zbyt niechętnym milczeniem — podchwyceno go — dyskusja będzie.

Mam wrażenie, że ludzie jakoś odczekali, rozprostowali się i pragną rozładowania nagromadzonej energii. Chcą działać.

Na zakończenie chciałbym jeszcze powiedzieć, że w tych dniach będziemy przyjmowali do naszej organizacji Joasję Foremną — dobrą i lubianą koleżankę, która właśnie teraz zwróciła się o przyjęcie do ZMP.

ALEKSANDER MINKOWSKI



Wolne żarty...

„Uwaga miłośnicy sportów wodnych przy kole AZS na WSE! Powstała sekcja żeglarska! Wstępujcie w jej szeregi!”

Plakat tej treści ukazał się w poznajskiej WSE. Do dnia dzisiejszego ów plakat zwraca uwagę sylwetkami pięknych jachtów.

W grudniu ub. roku zarząd koła dokonał spisu zainteresowanych sekcją żeglarską. Na tym zakończyła się działalność propagandowej sekcji. Na liczne zapytania, jak tam z sekcją żeglarską, przewodniczący AZS kol. Lech Łyskawa i kol. Irka Waszyliszyn odpowiadają: „Cierpliwość koledzy, o wszystkim was powiadomimy, uważnie czytajcie komunikaty koła AZS”.

Czytamy i czekamy już 4 miesiące a zapowiadzanego komunikatu jak nie było tak nie ma. Obawiamy się, że zbraknie nam cierpliwości.

Czas wreszcie pomyśleć poważnie o tej sprawie, którą potraktowano jak zabawkę; tym bardziej, że sezon szybko się zbliża. Takie dziecinne żarty na pewno nie licują z pracą koła AZS, które już drugi rok dzierży proporzec „przodującego”.

Na sekcję żeglarską (nie tylko na plakacie) czeka wielu miłośników sportów wodnych.

KAZIMIERZ DENEK
WSE — Poznań

„Missisipi”
po nowemu

Miał kto wśród słuchaczy programu Polskiego Radia wie, że motyw ludowej muzyki w wierszu o wielkiej rzece Missisipi włączył do swej komedii muzycznej „Statek Komediantów” jej kompozytor Jerome Daryl Kern, kompozytor amerykański zmarły przed 10 laty. Natomiast bardzo wielu kojarzy te pieśni z nazwiskiem barytona murzyńskiego Paula Robesona. I słusznie, bo właśnie dzięki niemu doszły do nas dźwięki tej pieśni. Wielki śpiewak wdożył z tekstu i muzyki tkwiące w nich rewolucyjne akcenty i dziś nie wyobrażamy już sobie innej w założeniu interpretacji tego utworu. „Missisipi” jest bowiem uosobieniem buntu i walki ludu murzyńskiego. I dlatego słusznie każdy z naszych wokalistów wykonując ten utwór w mniejszym lub większym stopniu nawiązywał do interpretacji Robesona.

Inaczej postąpił chór Czejanada. Już samo włączenie pełnego dynamiki utworu do repertuaru kameralnego ze-



społu — jest pomyłką. Wykonanie dowiodło, że błąd został zdwojony poprzez niewłaściwą, niezgodną z duchem utworu interpretację. Z pieśni pełnej dynamizmu i buntu „Czejanada” zrobili mdłą, melancholijną biesiadkę. Wypaczono tym samym sens utworu, zgubiono jego artystyczną prawdę. Komu to potrzebne? Sądze, że ani „Czejanada”, ani wielotyśnezmian rzeszom ich wiernych słuchaczy. Należałoby więc życzyć temu zespołowi więcej staranności przy wybieraniu i interpretacji utworów.

(Ja)

(Po wysłuchaniu audycji PR w dniu 20.II. br. pt. „Na muzycznej fali”).

Krytyka krytyki

Wielce w podobnych wypadkach powiada — „wysadka lub po prostu leżem”. Istotnie leżymy i to na obie łopatki z tzw. krytyką muzyczną w dniach Konkursu Chopinowskiego.

Zaczęło się szumnie ogłoszeniem w kilku centralnych dziennikach, że „komentatorami Polskiego Radia z V Konkursu im. Fryderyka Chopina będą: Jerzy Broszkiewicz i Jerzy Waldorff”. Nawzajem same się zapowiadające i wiele obiecujące. Zresztą wymienieni komentatorzy w przededniu rozpoczęcia Konkursu odbyli na fali Polskiego Radia wymianę mniej lub bardziej odkrywczych myśli i zapowiedzi oficjalnie, że na przemian omawiać będą grę poszczególnych uczestników Konkursu.

Jak dotychczas obaj komentatorzy, a celuje już w tym Waldorff, unikają w swych słowach wiążących próby oceny gry młodych pianistów. Jasne jest, że w tym wypadku ze swoim sadem trzeba się poważnie liczyć. Można przecież popaść w konflikt z oceną jury. Ale ten fakt nie może zwalniać naszej codziennej krytyki muzycznej od całowitego milczenia tam, gdzie głos jej nie jest ostatecznym wyrocznią i gdzie może on być skorygowany przez jurorów.

To co robią dwaj sprawodawcy Polskiego Radia (słusznie zastąpiono słowo komentator słowem sprawozdawca)

jest skrzyżowaniem suchych zapowiedzi speakerów z opisem rewii młód.

Jedyną zaletą tych audycji jest ograniczenie słowa na korzyść muzyki, pozostawiając ocenę gry samym słuchaczom (co zresztą oficjalnie praktykuje Waldorff mówiąc „a jak gra samemu ocenicie, drodzy słuchacze”). Oczywiście taki komentarz dobry jest dla tych, którym słowo wiąże w ogóle jest szkodliwe — dla znawców muzyki. Przeciętny miłośnik Chopina chciałby oprócz wysłuchania jego utworów dowiedzieć się, na czym polega możliwość różnorodności ich interpretacji przez poszczególnych odtwórców.

Sądze, że właśnie w dniach Konkursu jest czas i miejsce na to, by poza popularizowaniem utworów Chopina pokazać i wyjaśnić najróżniejsze sposoby odczuwania jego muzyki przez młodych pianistów. Kto to ma robić? Oczywiście przede wszystkim komentatorzy Polskiego Radia jak również codzienna prasa. A że tego nie robia, można młód o to do nich słuszny żal.

Młody pianista, zanim powie mu o tym decyzja jury, chciałby wiedzieć jak grał i dlatego szuka odgłosów Konkursu w prasie codziennej, która ma przecież swoich przedstawicieli na sali.

„Życie Warszawy” w niedzielnym dodatku ilustrowanym z dnia 26 lutego

...podobnie zresztą jak Majakowski. Pamiętacie ten wiersz o „poślednim guście” pośredników literackich, rozszczępił sobie prawa do narzucania poecie wymagań w imieniu mas, znanych tylko z obrazka?

A może nie pamiętacie? Nic nie szkodzi — Majakowski strzelał celnie, wiersz trafia po dziś dzień. Wbrew laickiej zasadzie „de gustibus non est disputandum” zastanówmy się nad gustami pewnych redaktorów PIW. Cho-

zamięściło zdjęcie pianisty węgierskiego György Bankalmi, który usiłuje właśnie czytać „Życie Warszawy”, dowiedzieć się, jak prasa komentuje wystąpienia młodych pianistów. Należy sobie życzyć, by ten miły pianista nie znał polskiego języka, w przeciwnym bowiem wypadku trzeba by było się wstydić za sprawozdawcę muzycznego, tego popularnego dziennika. W artykułach zamieszczanych o Konkursie mogliśmy do niedawna (teraz i tego nawet zaprzestano) jedynie dowiedzieć się czy dany pianista rozgrywał czy nie rozgrywał. Na Boga, przecież pianista to nie kaloryfer.

Skończyła się mowa o Filharmonii i chciałbym złożyć ofertę: „pokryję koszty zabajowania białej sekatej deski, która zdobi szósty stopień podium dla chóru”. Wierząc mi, z sekatej deski na tle marmuru, goblinoi i hebanów wcale scenie nie do twarzy.

Zastanawiałem się, gdzie by można było złożyć ten mój głos i doszedłem do wniosku, że najlepiej w POPROSTU.

Dlatego? Ponieważ ta krytyka krytyki muzycznej was, drodzy koledzy, nie dotyczy, bo wy o Konkursie w ogóle nie nie piszecie.

Radiosłuchacz
tutaj
prasoczytelnik

BELLUM CONTRA OMNES
Paganini miał rację...

dzi o Gałczyńskiego. Zasłużone skądinąd wydawnictwo wypuściło przed rokiem w sporym nakładzie solidnie na oko wyglądający wybór wierszy tego kłosa poetów. Nie ufajmy jednak oku! — zapobiegliwi pośrednicy w trosce o „kościć ideową” swych odbiorców podali nam Gałczyńskiego bezbłędnego, nienagannie uczeszanego, zapiętego na wszystkie guziki. Gałczyńskiego bez „Pieśni cherubińskiej” i „Inge Bartsch”, bez fragmentów choćby „Balu u Salomona” i „Końca świata”. Zamieścili wśród wierszy satyrycznych 3 (słownie: trzy) utwory przedwojenne. Któż z czytelników nie znających trudno dostępnych, wcześniejszych wydań, domyślił się, jak dotkliwie policzki otrzymywała sanacja od autora „Pieciu donosów”, „Zimy z wypisów szkolnych”, „Skumbrii w tomacie”. Pośrednicy zapomnieli dalej o jednym z najlepszych utworów, jakie wyszły spod pióra poety — „Pamięć dla zdrójcy”. Zapomnieli, lub może bali się urazić... — kogo właściwie? Adresata?

Zaraz, zaraz... — być może jesteśmy niesprawiedliwi. Wybór to nie „Dziela wszystkie” — trzeba w nim się co chwila ograniczać, z czegoś rezygnować. Gałczyński napisał przecież wiele doskonałych wierszy... Stop!

Spójrzmy tylko czym wypełniono część pierwszą zbioru „Pokój”. Znajdziemy w nim szereg wierszy sloganowych, pisanych wówczas, kiedy poeta, na szczęście krótko, uległ pokusom pseudo-politycznego frazesu — do czego zresztą usiłuje namawiać go wówczas krytyka. Gałczyński szybko zrozumiał, że nie tędy droga — utwory pisane w ostatnich latach życia sięgały po najważniejsze sprawy współczesności, rozaczając zarazem bogactwo barw palety dojrzałego mistrza. Tytuł „Pokój” właśnie im się należy — „Saniom”, „Kronice olsztyńskiej”, „Spotkaniu z matką”, „Pieśniom”, Pośrednik zadecy-

dował inaczej — zmieszał ziarno z plewami, oddzielając wszystkie utwory, w których znajdują się słowa „pokój” i „socializm” — utwory złe i dobre, ale jakoby „polityczne”. Powstał nonsens — sto stron dzieł wiersze, których rękopisy spoczywały obok siebie na biurku poety, wiersze jednego nurtu, dwieście wspólną nutą. „Przez świat idzie wolanie” i „Spotkanie z matką”, „Ojczyznę” i „Pieśni”. Powstał chaos, z którego nieświadomy odbiorca nie zrozumie patosu wielkiego wysiłku artysty, znajdującego „...do nowego człowieka w sobie drogi dalekiej”.

Ale pośrednik triumfuje — wystawił „niebezpiecznemu” poecie świadectwo lojalności, ma już parawanik („przepraszam na pisal takie piękne wiersze o pokój...”), zrobił co mógł, żeby nikogo nie urazić, ba! nawet zastanowił. A że zgłębił i zapaszkował piękną i czystą sprawę — coż to szkodzi? Zresztą rok już upłynął — a nikt się o nią nie upomniał — ledwo tu i ówdzie pośmiało się z tego, że „Kółczyki Izoldy” trafiły do satyr. (Ja się nie dziwię — w takim wydaniu naprawdę „wszystko logiczne i nie jest niemożliwe...”).

Tak, rok już upłynął — ale jeszcze nie jest to późno. Właśnie wysłała krakowska „Liryka” — tomik skromniejszej, ale czyta go się z przyjemnością — jest, bądź co bądź, uczciwy. Wyjdzie niedługo wydanie „Czytelnika”. Miejmy nadzieję, że tamten zbiór zredagowany, jak wynika z informacji, przez Marię Ostrowską, pozostanie ośsoobinnym a smutnym świadectwem prawdy słów, ujętych przez Gałczyńskiego jako motto do „Tragedii profesjonalnej”.

Paganini zdanie drwiące zanotował, jadąc w łodzi, o tym, że sztuka jak słońce recenzentom nic nie szkodzi.

ANDRZEJ DRAWICZ



W księgarni „DOMU KSIAŻKI”

4 270 1

W czwórke przez Góry Sowie

To nie będzie ani reportaż z Raidu, ani ocena sportowa poszczególnych drużyn, blasków i cieni strony organizacyjnej I Studenckiego Raidu Narciarskiego.

Przez pełne trzy dni na trasie z Różniewa przez Sokolce i Jedlinę do Wałbrzycha notowałem jako kronikarz drużyny wrocławskiej Akademii Medycznej nr startowy 1349 wszystkie ciekawsze wydarzenia, upadki i wloty naszego czteroosobowego zespołu.

Naszym kierownikiem był Piotr Patryn, mając pod swoją komendą Sławę Owsianiak, Mirona Malinowskiego i mnie. Razem forsowaliśmy Wielką Sowę, szusowaliśmy do Sokolca, wspólnie walczyliśmy o noclegi w Jedlinie, w czwórce jedliśmy i spaliliśmy, w czwórce wreszcie wróciliśmy do Wrocławia, gdzie trzeba było się pożegnać. Pożegnanie to było jednak tylko optymistycznym „do zobaczenia”, gdyż stało się jasne, że przyjaźń, która zrodziła się na trasie, będzie się dalej, w codziennym życiu rozwijać.

I to był dla wszystkich drużyn główny sukces Raidu...

Piątek, 25 lutego

godz. 9.30.

Autobus PKS wiozący nas do Różniewa wlecezie się niemiłosiernie powoli. Przez okna widać, że śnieg jest tym gorzej, tu i ówdzie wystają kamienie, przeciera się gruda zmrożonej ziemi.

Zatrzymujemy się w Dzierżoniowie, bo szofer nie zna dalszej drogi. Postój trwa kilkanaście minut, co jest tym gorzej, że dochodzi dziesiąta, a przed nami bardzo trudny odcinek pierwszego etapu.

Jedziemy dalej. Jedną z drużyn gra zespołowo w brydża. Sława zastanawia się, co ci karciarze robią lepiej: grają w brydża, czy też jeżdżą na nartach.

godzina 10.15.

Jesteśmy na miejscu. Różniewo leży w przepięknym szerokim wąwozie. Na wysokim stoku widać sanatorium, dalej domy wczasowe i



Forsujemy Wielką Sowę.

małe chatki. Wszystko w lesie. Czasu na rozglądanie się jest mało. Kierownik robi zbiórki i wyruszamy.

godzina 12.30.

Cholerne podejście. Droga wije się pomiędzy drzewami bardzo ostro w górę. Mijamy szczyt Starej Jody — przed nami Wielka Sowa. Piotrek i Mirek pociągnęli do przodu — Sława i ja wlecemy się z tyłu. Brak kondycji! Zbliża się do nas zastępca kierownika trasy, który zamyka pochód. Trochę przyspieszamy, ale to jeszcze za mało, aby dogonić naszą czołówkę.

godzina 13.00.

Podejście nie chce się skończyć. Co chwilę odpinają mi się narty. Sława i kierownik oddalają się. Mają 15 metrów przewagi, 20, 50... 100. Znikają za zakrętem. Ślad jest wytarty wyraźnie, bo przeszło kilka drużyn, ale samemu ciężko, tym bardziej, że nie wiadomo kiedy się podejście skończy. Nie ma chyba nic gorszego jak taki samotny marsz w nieznane. Próbuje ich gonąć. — Nie daję rady. Wiele przeciwny wiatr, dość ostry. Może to już szczyt? Może za tym zakrętem? Dlaczego oni uciekli? Jeszcze jeden zakręt — droga ciągle pod górę. Znowu odpina się narta. Zdejmuję drugą i chcę iść piechotą. Śnieg jest po pas, więc nie można o tym marzyć. Zakładam narty z powrotem



Dwie drużyny zbłądziły w Walimiu.

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”
Redakcja: Kolegium
Adres Redakcji: Warszawa 18
ul. Wiejska 17/1. Telefon red.
nacz. — 841 24. Centrala 832 91.
Prenumerata: POPROSTU przyjmowana jest w kioskach „Ruch” od 1 do 25 każdego miesiąca. Miesięcznik — 71 140, kwartalnik — 420 półrocznik — 840, rocznik — 1680.
Administracja: RSW „Prasa” III Delegatura Warszawa, ul. Marszałkowska 8. Tel. 807-11.
Drukarnia: RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.
Zam. nr 469 B-6-3050

obie drużyny wróciły do Sokolca, więc nawet na nas nie czekali. „Informatora” Ingrid już jest. Też zdziwiona żeśmy zabłądzili. Z noclegami jest bardzo krótko. Przyjechało za dużo organizatorów i zajęli prawie wszystkie łóżka. Lokują nas gdzieś na materacach w dużej sali. Krótka kolacja i

godzina 12.00

— cisza nocna.

Niedziela, 27 lutego

Postanawiamy dziś trzymać się czołówek. Idziemy dalej dziesiątką, tak jak wczoraj. Jest nam bardzo wesoło. Na dobry humor wpływa piękne słońce i stosunkowo nie trudna trasa. Tylko jedno podejście i potem ma być zjazd.

godzina 11.00.

Zjazd już jest. Lecimy szusem na dół, śpiewając po drodze „Cicha woda”. Zatrzymujemy się na przedmieściach Wałbrzycha.



— Taaamuj chyyyyykiem!!!

Z notatnikiem i kamerą na trasach

Wymarsz po słońce

jąc się z przygody — pod Liczyrzeczą w Andrzejówce.

METODA WYCHOWAWCZA „STAREGO WYGI”

Drużyny trasy V startują z Andrzejówki. Przed schroniskiem PTTK im. Krajewskiego odbywa się mały trening.

Właśnie demonstruje zjazd przewodnik PTTK — Sława. Opisuje się przed trzema drużynami, które za chwilę mają wyruszyć na trasę.

Nagle zakotłowało się w powietrzu i „wychynowicie” zleciał koziołkując w dół. Po tym trudno było się Sławię pozbierać. Mocno kulejąc, podpierany z obu stron przez kolegów dotarł do schroniska. Chłopcy czołżyli go kołem — a kierownik trasy — „stary wyga” w dziedzinie turystyki inż. Kulczycki wraz z ratownikiem zabrali się do dzieła.

Noga zwichnięta w kostce — trzeba było nastawić. Robili to obaj w sposób „specjalny” — „w celach wychowawczych” — jak potem zwierzył mi w tajemnicy inż. Kulczycki.

Gdy Sława jechał naszym rodzajem hipopotama, aż rozlegało się po całym schronisku — kierownik ekipy zwrócił się do swoich drużyn:



Sluchajcie i patrzcie co was czeka jeśli nie będziecie jeździć ostrożnie.

I rzeczywiście nauka nie poszła w las — choć trasa wiodła z Andrzejówki poprzez Tuszyń Jeleniec, zamek Rogowiec i Grzmiącą do Jedliny-Zdroju i nieraz chłopcy mijali przepiękne świerkowe lasy. Jechali uważnie — tempo jazdy zależne było od stanu serca inż. Kulczyckiego, który zawsze gdy ustawał — obdarzał chłopców jakimś morałem np. „z nartami jak — z życiem — nie za gorąco bo można się sparzyć”.

A że „strzeżonego Pan Bóg strzeże” dojeżdżały wszystkie trzy drużyny trasy V w komplecie i w całości. O co o znaczy przewodnik wychowawca.

ZNAKOWANIE TRASY — ALE CZYM!

Każda drużyna, aby zdobyć jak najwięcej punktów starała się dokonywać na trasie różnych mniej lub więcej bohaterskich czynów, jak udzielanie pomocy sanitarnej, technicznej, podciąganie słabszych, organizowanie imprez na postojach itp.

Uczestnicy raidu trasy V podjęli zgola oryginalne zobowiązanie, z którego korzystał odnieść miało PTTK.

Przedstawiamy zwycięzców



Uroczyste zakończenie raidu i wręczenie nagród odbyło się w świetlicy górników kopalni „Chrobry”.

I STUDENCKIEGO RAIDU NARCIARSKIEGO zorganizowanego z inicjatywy redakcji POPROSTU wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZMP we Wrocławiu, KO ZSP, ZO AZS i Oddziałem Miejskim PTTK w Wałbrzychu dla studentów uczelni wrocławskich.

I nagrodę — ZG AZS — 5 par nart — zdobyła drużyna Nr 1350 z Uniwersytetu Wrocławskiego.

II nagrodę — redakcji POPROSTU — 6 skafandrów — uzyskała drużyna Nr 1352 z Akademii Medycznej.

III nagrodę — redakcji POPROSTU — 4 komplety strojów sportowych — otrzymała drużyna Nr 105 z WSE.

Cenne nagrody książkowe ufundowane przez redakcję POPROSTU otrzymały następujące drużyny:

Nr 961, z Uniwersytetu Wrocławskiego; Nr 1036 z WSR,

Nr 1154 z WSR, Nr 1114 z PW PWSSP i Nr 686 z WSWF.

(Uwaga: drużyna 686 była najlepsza podczas Raidu, lecz ze względu na zrozumiałe różnice w kondycji i przygotowaniu otrzymała nagrodę VIII).

Chodziło mianowicie o nowe oznaczenie trasy, która dotychczas tylko gdzieś gdzieś czerwieniła się wąskim paskiem na pniu drzewa czy słupie.

Znakować to znakować — ale czym? Farb ani chorągiewek nie mieli ze sobą.

Wpadli jednak na genialny sposób: robili znaki w postaci dółków wygrzebanych własnymi ciałami, ale tak dokładnie, że jadący po nich narciarze na pewno nie zbłądzili.

„PERELKA”

Z drużynami z trasy VI spotkaliśmy się dopiero po południu w Jedlinie - Zdroju.

Ogorzali od wiatru, osmaleni słońcem przybyli na etap w doskonałych humorach, zdrowi, cali i w komplecie.

Brak kobiet — dzielą się od razu swoją bolączką — jedna „perelka” na nas dwudziestu to stanowczo za mało. Wiedzą przecież, że kobiety stwarzają atmosferę ciepła, co zwłaszcza teraz, w zimie nie jest bez znaczenia.



kie drużyny są gotowe i chwalą krajowe parafiny Zet, na których dobrze się jeździ.

Drużyna z WSWF dziwnie długo ociąga się z robotą.

— A wy czemu nie smarujecie nart?

— Pst. — Koleżanko — my czekamy aż wszyscy skończą, wtedy schowamy się z naszymi nartami „do szafy”. My mamy specjalny sposób i własnej roboty mieszankę smarów — ale to nasza tajemnica. Kto smaruje ten jeździ — kończą swoje wywody.

W SLIPACH NA ŚNIEGU

O 7 rano pobudka — a w chwilę potem wypostowana drużyna z WSWF wybiega na śnieg rozłożony porannym słońcem — tylko w kostiumach gimnastycznych.

Nie pokazemy tej gimnastyki na zdjęciu — zimno by Ci się zrobiło Czytelniku, gdybyś zobaczył półnagich chłopców na śniegu. A mroz tego ranka był kilkunastostopniowy. Inne drużyny były rozsądniejsze i gimnastykowały się w strojach kompletnych.

SZUSEM NA POŁOWIE NARTY

Sobota rano. Z Sokolca startuje 14 drużyn (trasa II). Jest wspaniały, długi zjazd. Na dole drużyny zatrzymują się. Przed chwilą zjechał wspaniały szusem kierownik VII drużyny, kol. Goryński. Przyhamował. Stał. Tuż za nim zjechała VIII drużyna.

— A gdzie masz resztę narty? — pytała zartem Goryńskiego. Ponieważ trwało to od chwili znalezienia się na dole zaledwie parę sekund — dopiero teraz spostrzegł, że zgubił pół narty. Ale gdzie? — Zaczął się zastanawiać. Trzeba koledze pomóc (za to można przecież uzyskać 20 punktów). VIII drużyna rusza tyralierą do góry na poszukiwanie. Na wysokości 800 metrów znalazła się zguba. Szusować 800 metrów w dół na połowie narty i wcale o tym nie wiedzieć — to naprawdę godne podziwu.

Był to jednak dopiero początek etapu. A całą trasę przebyć na połowie narty było bardzo trudno.

Mimo tej przygody powitaliśmy kolegę Goryńskiego na etapie w Jedlinie w wyśmienitym humorze i... jako jednego z pierwszych.

KRYSTYNA TARASIEWICZ
Foto St. Wdowiński